ZASADY KAZNODZIEJSKIE ŚW. AUGUSTYNA.

Część II.

IV.

Potrójne zadanie kaznodziei.

Zdaniem św. Augustyna mówca kościelny winien tak przemawiać, aby pouczał, budził upodobanie, oraz zniewalał do czynu — *„ut doceat, ut delectet, ut flectat“* [1]) — *„ut veritas pateat, veritas placeat, veritas moveat“* [2]). Trojakie to zadanie stawiał już Cycero mówcy świeckiemu. Św. Augustyn przejmuje je i stosuje do wymowy kościelnej. Przytem dokładnie określa wagę i potrzebę użycia każdego z trzech rodzajów, odpowiednio do okoliczności.

Pouczenie, nasamprzód — tak wywodzi Augustyn — konieczne jest względem tych słuchaczy, którzy odnośnych prawd dostatecznie nie znają; dopóki więc znajdują się w nieświadomości jakiejś prawdy lub obowiązku, powinni o tem wpierw być pouczeni. Jakkolwiek przytem mówca sobie postąpi, jeżeli słuchacze dobrzy i chętni, potrzebujący tylko pouczenia, zrozumieli go, zadanie swoje spełnił. Gdy bowiem chodzi tylko o prawdy, które wystarczy znać lub w nie wierzyć, albo gdy samo poznanie tych prawd słuchaczy dostatecznie przekonywa i zapala, to dalsze zabiegi kaznodziei są niepotrzebne. Często bowiem prawda sama podoba się i zachwyca, byle tylko była pokazana i poznana, podobnie jak i błąd budzi zadowolenie, gdy jest wykrywany i zbijany. Umysły zdrowe i głębsze nie kochają się przecież w samych słowach, lecz w prawdzie, nie w czczej formie, lecz w rzetelnej treści. Tacy słuchacze prawdzie odrazu przyklasną i oddadzą

1) De doctr. christ. l. IV, c. 12.
2) Tamże, c. 28.

się chętnie i gorliwie w jej służbę, bez osobnego wzywania i nakłaniania.

Rzecz ma się inaczej, jeżeli mówca ma słuchaczy wybrednych, do pięknego, literackiego języka przyzwyczajonych. Ci bowiem tylko wtenczas mowy chętnie słuchają, gdy im się jej piękna forma podoba. Podobnie, jeżeli ma obojętnych, zatwardziałych słuchaczy, którzy tylko wtenczas swą grzeszną bierność porzucają, gdy ich silnie wstrząsająca mowa porwie i do głębi poruszy. Tam już nie starczy samo pouczanie, ale wybrednego słuchacza trzeba skłonić do chętnego słuchania, a obojętnego do chętnego działania. Pierwsze osiąga się przez „*delectare*, *placere*“, drugie przez „*movere, flectere*“.

Stopień upodobania nasamprzód, jakie mowa swą wykończoną, świetną formą ma budzić, stosować się powinien do usposobienia większości słuchaczy. Niektórzy z nich mają upodobanie nawet w rzeczach złych, brzydkich i nieprzyzwoitych dlatego tylko, że przedstawione są w pięknej i wspaniałej formie. U innych, poważniejszych ludzi ta piękność mowy nawet wtenczas nie budzi upodobania, gdy wprawdzie nie złe, ale błahe i znikome rzeczy wystraja się taką „puszystą pianą słów“ (*spumeo verborum ambitu*), jaka nawet przy rzeczach wielkich i nieprzemijających nie jest na miejscu.

Przed takimi więc słuchaczami trzeba w retorycznem upiększaniu swej mowy przezorną zachowywać miarę. Przy pierwszym rodzaju słuchaczy, t. j. przy więcej wybrednych, należy z większą obfitością użyć środków oratorskiego zdobnictwa; znacznie mniej zaś przy drugim rodzaju. W ten sposób owoc mowy będzie o wiele obfitszy, gdyż dostanie się w udziale nietylko gorliwszym, którym jedynie o prawdę chodzi, ale i tym, którzy do prawdy chętniej i trwalej przystaną, skoro zobaczą ją w strojnej szacie.

Często jednak zdarza się, że ani jasne pouczanie w prostej formie, ani nawet pouczanie w ozdobnej i wspaniałej formie nie osiąga swego skutku i przeto nie wystarcza. Są bowiem słuchacze, którzy głoszone prawdy uznają i piękność wymowy chwalą, ale według tych prawd nie postępują. Wtedy konieczne staje się trzecie, najważniejsze, zadanie kaznodziei, to jest zwycięstwo nad obojętnem sercem i wolą przez „*movere*“ i „*flectere*“, przez pobudzanie uśpionych uczuć i naginanie opornej woli — gdyż „*flectere victoriae est*“. Do tego służą rozmaite sposoby mowy przynaglającej, jako to zaklinania, na-

gany, wzywania, karcenia i tym podobne. One to sprawią, że słuchacze poczną kochać to, co mówca obiecuje, lękać się tego, czem grozi, nienawidzić tego, co potępia, pragnąć tego, co zaleca — słowem rozbudzą odpowiednie uczucia, uczucia pociągną wolę, a wola wywoła czyny.

V.

Potrójny styl kaznodziejski.

Każdemu z powyższych trzech zadań kaznodziei odpowiada odnośny sposób przemawiania czyli styl kaznodziejski — *genus dicendi.* Mianowicie kaznodzieja powinien przemawiać „*submisse, cum aliquid docetur, temperate, cum aliquid vituperatur sive laudatur, cum vero aliquid agendum est,... granditer et ad flectendos animos congruenter*“ [1]). Stąd też nazwy tych trzech stylów u Augustyna brzmią: *genus submissum, genus temperatum, genus grande.* Po polsku: styl zwykły czyli prosty, styl średni lub ozdobny, oraz styl podniosły, górny, patetyczny. Na czem style te polegają, Augustyn osobno nie wyjaśnia; snać samo się to rozumie, a poniekąd wynika z przykładów, które przytacza dla każdego stylu [2]), i z tego, co powiedział o potrójnem zadaniu mówcy kościelnego. Poucza raczej głównie o tem, jak i kiedy stylów tych używać należy.

Jako jednę z najważniejszych zasad stawia tu Augustyn żądanie, aby wszystkie trzy style w mowie odmieniać, tak iżby się nawzajem łączyły i kolejno przeplatały [3]). Można i należy to czynić, chociaż omawia się jeden i ten sam przedmiot w kazaniu. Niema np. nic większego i wznioślejszego nad Boga. A jednak nierzadko pouczyć trzeba o jego istocie, a więc uczynić to trzeba stylem prostym. To znów uwielbia i wynosi się jego piękność i doskonałości, do czego stylem najodpowiedniejszym jest średni. To znów pobudza się do powrotu i nawrócenia się do Boga, do czego najwięcej nadaje się styl podniosły.

Jednakże nietylko cel, do jakiego się w mowie zdąża, ma być przyczyną zmiany i przeplatania stylów, lecz również

---

[1]) De doctr. chr. l. IV, c. 19.

[2]) Przykłady z Pisma św.: dla stylu prostego: Gal. 4, 21-26 i 3, 15-22; dla stylu średniego: I Tym. 5, 1-2; Rzym. 12, 1; 6-16; 13, 6-8; 12-14; dla stylu podniosłego: II Kor. 6, 2-12; Rzym. 8, 28-39; Gal. 4, 10-20. (loco cit. c. 20). Z Ojców Kościoła przytacza przykłady z Cyprjana i Ambrożego (c. 21).

[3]) „Quantum congrue fieri potest, omnibus generibus dictio varianda est“ (loco cit. c. 22).

i wzgląd na to, że dłuższe przemawianie w tym samym stylu słuchaczy nuży i za mało ich uwagę przykuwa. Twierdzenie to ma swą słuszność, mimo że poszczególne rodzaje mowy czyli style mają swoje cieniowania i stopniowania, które zupełnemu odwróceniu uwagi słuchaczy i zupełnej ich bierności zapobiegają.

O wiele łatwiej jednak można znieść przez dłuższy czas styl prosty, niż podniosły. Bo im silniej uczucia się pobudzi, tem krócej można je w tem napięciu utrzymać. W razie dłuższego trwania przeto stylu podniosłego należy weń wplatać spokojne wywody stylu prostego i niejedno, coby można wygłosić w potężnem „*genus sublime*“, wypowiedzieć w spokojnem „*genus submissum*“. Wtedy tem snadniej i skuteczniej można wracać do stylu podniosłego tak, że oba kolejno się zmieniają, jak szczyty i głębie fal morskich. Mimo tego przeplatania stylów mówi się jednak zwykle, że mowa czy nauka jest w tym stylu, który w niej przeważa.

Z stylem podniosłym musi zawsze łączyć się styl średni, ozdobny. To znaczy, że silna, na pobudzenie uczuć i zmianę życia działająca mowa, musi zawsze występować w pełnej ozdobie stroju oratorskiego.

Ilekroć jednak zajdzie potrzeba rozwiązania trudnych, zawiłych pytań lub wątpliwości albo potrzeba wyjaśnienia rzeczy nieznanych i pouczenia o nich, czynić to trzeba zawsze stylem prostym — czyto będzie w toku stylu podniosłego czy ozdobnego. Tak samo należy użyć stylu ozdobnego wszędzie tam, gdzie zachodzą pochwały lub nagany.

A więc w podniosłym stylu znajdują zastosowanie dwa inne, t. j. prosty i ozdobny. Również w prostym oba inne, t. j. podniosły i ozdobny.

Z pośród wszystkich trzech stylów najmniej wartości we wymowie kościelnej ma według św. Augustyna styl średni, czyli ozdobny. Wszyscy bowiem, którzy stylem prostym są pouczeni, dochodzą do poznania i przekonania. Wszyscy też, którzy stylem wzniosłym są poruszeni, stosownie czynią i postępują. Ale nie wszyscy, którzy pięknością stylu średniego są zachwyceni, przezeń się naprawiają. Co najwyżej styl ten może tylko to jedno sprawić, że gorliwi słuchacze w dobrem się utwierdzają. Sam zaś, przez inne nie poparty, nie jest zdolny do żadnego poważniejszego wpływu i skutku. Dlatego też nie powinien być nigdy celem sam dla siebie. Nie dla błyszczenia

ma kaznodzieja nim się posługiwać, ale tylko poto, by słuchaczy dobrych, nie potrzebujących ani pouczenia ani pobudzenia, w miłości dobrego albo w nienawiści złego tem łatwiej utwierdzić i wzmocnić.

Ostateczny cel poszczególnych trzech stylów, tudzież ich przeplatania jest ten, ażeby mówcy słuchano rozumnem, chętnem i powolnem sercem. Zrozumienie osiąga się przez pouczanie stylem prostym, chętne słuchanie przez zachwycanie stylem ozdobnym, posłuszeństwo przez wstrząsanie stylem podniosłym. Jednakże nie każdy styl ma tylko i wyłącznie sobie właściwe działanie wywierać. Raczej przeciwnie! Jakikolwiek styl będzie w kazaniu przeważał, w każdym i zawsze ma kaznodzieja tak przemawiać, *„ut intelligenter, libenter, oboedienter audiatur“*.

VI.

Moralne przymioty kaznodziei.

Mimo zalecania wszelkich powyższych sposobów sztuki wymowy i stylu, Augustyn jednak widział i uznawał, że dla skuteczności nauczania kaznodziejskiego ważniejsze od nich jest życie kaznodziei. I dlatego powiada: *„Habet autem, ut oboedienter audiatur, quantacumque granditate dictionis maius pondus vita dicentis“* [1]). Coprawda dobrzy słuchacze nie tak ludzi, jak raczej Boga samego posłusznie słuchają. Dla nich więc z pożytkiem mówić będzie i ten kaznodzieja, który nie czyni sam tego, co głosi. Lecz o wiele więcej pożytku sprawi ten kaznodzieja, który żyć będzie według głoszonej przez siebie nauki. Każdy więc kaznodzieja, a tem bardziej ten, który nie posiada daru wymowy, powinien tak żyć, *„ut... praebeat aliis exemplum, et sit eius quasi copia dicendi forma vivendi“* [2]). Jeżeli kaznodzieja dobrze przemawia i dobrze głosi prawdy Boże, ale myśli odpowiednich i treści kazania sam zebrać i ułożyć nie umie, Augustyn pozwala mu korzystać z kazań przez innych napisanych. Byleby tylko żył zgodnie z prawdą Bożą. Wtenczas choć od innych ją przejmie, nie jest dlań obcą. Raczej ten głosi treść obcą, który dobrze przemawia, ale źle żyje.

W cnotliwem, świątobliwem życiu jedno zwłaszcza wymaganie Augustyn osobno i z naciskiem podkreśla. Żąda mianowicie, ażeby kaznodzieja był mężem modlitwy. Potrójny

1) De doctr. christ. l. IV, c. 27.

2) De doctr. chr. l. IV, c. 28.

cel kazania, to jest, ażeby go słuchano rozumiejącem, chętnem i posłusznem sercem, kaznodzieja o wiele pewniej osiągnie przez gorliwość w modlitwie, niż przez kunszt i dar swej wymowy. Zanim tedy zacznie przemawiać albo kazanie pisać lub dyktować, niech wpierw pomodli się za siebie i za swoich słuchaczy, aby Bóg poddawał mu zbawienne myśli i porywające słowa, i słuchaczom dał gotowe i chętne serce. „*Sit orator, antequam dictor*“ [1]).

Ale i po skończonem kazaniu niech dziękuje Bogu za szczęśliwy wynik, gdyż Bogu bezwątpienia go zawdzięcza.

VII.

Streszczenie i zakończenie.

Wywody św. Augustyna dotyczące głoszenia słowa Bożego możnaby streścić i ująć w następujące krótkie tezy:

1) Przepisów i zasad wymowy świeckiej (o ile chodzi o ich znaczenie dla wymowy kościelnej) nie należy ani przeceniać ani lekceważyć. Przyswajać zaś sobie tę sztukę należy raczej przez czytanie i słuchanie dobrych mówców, oraz przez ich naśladowanie, aniżeli przez wyuczanie się przepisów teorji.

2) Treść mowy kaznodziei powinna zawierać mądrość Bożą, której źródłem jest przedewszystkiem Pismo św.; forma powinna odznaczać się szlachetną i piękną wymową.

3) Pierwszorzędnym obowiązkiem kaznodziei jest przemawiać jasno i zrozumiale, choćby kosztem słów piękniejszych i uczonych; niedopuszczalne jednak są wyrażenia prostackie i trywjalne.

4) Dalszem koniecznem zadaniem kaznodziei jest pouczać słuchaczy o prawdach, których nie znają; budzić upodobanie piękną formą u tych zwłaszcza, którzy inaczej z niechęciąby słuchali; nakłaniać i do czynu porywać tych, którzy są obojętni i nie żyją według prawd Bożych, chociaż je znają.

5) Temu trojakiemu zadaniu kaznodziei odpowiada potrójny styl kaznodziejski, mianowicie pouczaniu odpowiada styl prosty, podobaniu się styl średni, poruszaniu uczuć i woli styl podniosły. Style te należy w mowie wciąż odmieniać tak, by się przeplatały i łączyły, a przez to zapobiegły nużącej monotonji. Styl średni, ozdobny nie powinien nigdy być celem sam

1) De doctr. chr. l. IV, c. 15.

dla siebie. W każdym zaś stylu mówca powinien dbać o to, aby go dobrze rozumiano, chętnie słuchano i jego zalecenia posłusznie spełniano.

6) Jednakże znaczenie ważniejsze, niż wszelka wymowa, ma świątobliwe życie kaznodziei i jego modlitwa.

Poznań. *Ks. dr. Jan Kiciński.*

POŻYTKI KAZNODZIEJSKIEJ LEKTURY.

(GŁOSY ANKIETY).

Artykuł niniejszy należy swą treścią do dziedziny wyszkolenia kaznodziejskiego alumnów naszych teologicznych zakładów. Stanowi on w układzie pewną nowość, bo skupia w sobie głosy (30-u) słuchaczy dwóch ostatnich kursów teologji jednego z polskich seminarjów duchownych.

Oto geneza tej zawodowej ankiety. Na początku roku szkolnego słuchacze otrzymują na wykładach dziejów rodzimej wymowy kościelnej zlecenie, aby każdy z nich w ciągu roku streścił po jednem kazaniu, dowolnie obranem, z następujących autorów 16, 17 i 18 stulecia: Białobrzeskiego, Karnkowskiego, Wujka, Skargi, Birkowskiego, Rychłowskiego, Starowolskiego, Młodzianowskiego i Fabianiego (względnie Woronicza). Pod koniec roku profesor zażądał, aby studjujący wypowiedzieli się pisemnie (ale bezimiennie) na temat pożytku tej kaznodziejskiej lektury.

Z odpowiedzi tej *sui generis* ankiety powstała wymowna mozaika myśli i wrażeń, mająca pełny i wyraźny sens. Przeszłość kaznodziejska Polski przejrzała się w myśli młodego pokolenia i przemówiła wyraźnie i mocno. Świadectwa te, wyrosłe na gruncie świeżym i bujnym, mają tak znamienną wymowę, że nie wymagaja dopełnień czy komentarzy. Samo nagromadzenie wielu głosów do jednej myśli będzie niejako plebiscytem kaznodziejskim, świadczącym o chóralnem reagowaniu na pewne prawdy i postulaty.

Aby nie mnożyć w tekscie znaków cudzysłowu, przy cytowaniu szeregu „głosów“ odróżniamy je albo umieszczaniem każdego z nich (jeżeli są dłuższe) od nowego wiersza, albo też oddzielamy je kreskami. — Teraz przychodzą do głosu nasi przyszli kaznodzieje.

* * *

Obrazowo opisuje nam jeden z nich wstępne kroki tej lektury: Sporo już przeczytałem kazań nowszych zwłaszcza autorów, do starszych jednak nie było sposobności się dostać, bo albo brak odpowiednich egzemplarzy, albo stare, pisane gotykiem, przytem poszarpane, zakurzone, jakoś nie pociągały. Pod „słodkim przymusem“ zdecydowałem się jednak wziąć do ręki „czcigodny foljał“, obejrzałem go kilka razy ze wszystkich stron, zajrzałem pod okładkę i po namyśle zdecydowałem się otworzyć, aż tu nowa trudność — gotyk! A nie mogliście tam użyć łacińskich czcionek, któreście przecież mieli np. do łacińskich tekstów... Zwolna pokonało się pierwsze trudności i poczęło się „sylabizować“. Po przeczytaniu paru stron widzi się, że to rzeczy możliwe, a nawet nieprzeciętne. Jeszcze kilka stron czytam — i zaczynam odkrywać niezwykłe zalety: spokój, powaga, namaszczenie, polszczyzna czysta, i jeszcze więcej: bo obfitość Pisma św., a każdy tekst tak dobrany, że trudno o lepszą selekcję. Myśl za myślą płynie gładko, bije logiką, prawdą, trafia do przekonania. Zacząłem rozumieć i poznawać Skargę...

Teraz przemówi drugi czytelnik: Do tego czasu, choć słyszałem i czytałem o niektórych autorach, jako o mistrzach słowa, to jednak, nie znając ich (z. wyjątkiem sejmowych Skargi) z oryginałów, byłem do nich mocno uprzedzony. Zdawało mi się, że nic ciekawego się tam nie znajdzie, że są okropnie nudni, a w każdym razie, że nie nadają się na dzisiejsze czasy. Jednak po krótkiem zapoznaniu się uprzedzenie to musiało ustąpić — i jeżeli się w nich będę więcej rozczytywał i z nich korzystał, to napewno zapał do nich jeszcze więcej wzrośnie...

Z konieczności nasuwało się czytelnikom porównanie dawnej literatury z nową, a wnioski z tego zestawienia wyciągają śmiałe i daleko idące. Tymczasem z tej dziedziny przytoczymy jedno zdanie: Dawne kazania choć nie świecą kwiecistym i bujnym stylem i językiem, to jednak mają w sobie taką moc i siłę, że wołają niejako: „Chodźcie do nas, czerpcie tego ducha prawdziwie Bożego, tę argumentację, te obrazy i przypowieści, porównania“... Kazania dzisiejsze — to rodzaj tandety, robionej na poczekaniu, poprzednim co do wartości nie dorównają. Kazania Skargi, przeczytane raz i drugi, przerobione, dostosowane do chwili bieżącej, może być bardzo pożyteczne. Kiedym je wziął pierwszy raz do ręki, rzuciłem okiem na druk i przestarzały nieco język, rzekłem mimowoli: „Stary szpargał, szkoda czasu na czytanie“. Tak powie zapewne niejeden, który nigdy

wiersza stamtąd nie przeczytał. A gdy streściłem takie kazanie z myślą, by je w przyszłości wygłosić — i rzeczywiście podczas świąt wygłosiłem (widać, że pisze diakon!) — wypadło poważnie i słuchane było z ciekawością.

Pierwszym ogólnym owocem tej pracy było poznanie kaznodziejskiej literatury, o czem nam zaświadczy szereg głosów. — Biorąc się do streszczania kazań, czytałem po kilka, aby wybrać z nich jedno, dla mnie najodpowiedniejsze — i tą drogą miałem możność poznać literaturę kaznodziejską, której dotąd nie znałem. — Ostatecznie uważam, że odczytywanie tych autorów było poprostu koniecznością, bo przez to i tych kaznodziejów bezpośrednio się poznaje i lepiej w pamięci utrwali. — Przedewszystkiem poznałem dużo autorów z dziedziny kaznodziejstwa. Treść kazań lepiej mi się utrwaliła w pamięci przy streszczaniu, niż gdybym je tylko czytał. Dotąd pamiętam dokładnie niektóre przykłady...

Nasi czytelnicy zdobyli pewne doświadczenia metodyczne, które nam w dalszym ciągu swych zeznań wyłożą. — Gdy osobiście czytam kazanie z piórem w ręku, to pewne zwroty, sposób ujęcia materjału, styl, indywidualność autora głębiej mi się utrwala w pamięci, niż gdybym tylko czytał pobieżnie to kazanie, albo tylko słuchał wykładu. Przy tak uważnem odczytywaniu staje mi przed oczyma cała i żywa postać autora-kaznodziei.

Jak się zabierano do streszczań, powie nam inny czytelnik: Streszczając kazania, naprzód czytałem całe kazanie raz, a za drugim razem, czytając urywkami, streszczałem. Dało mi to tę korzyść, że obejmowałem myślą całość kazania, sposób ujęcia, argumentację, zbicie zarzutów i wnioski praktyczne.

Dla przyszłych studjujących cenna będzie przestroga, wyrażona w dwu następnych głosach: Muszę się przyznać, że na początku przy czytaniu kilku autorów popełniłem jeden błąd, a mianowicie czytałem ich nie w oryginale, lecz w nowych przeróbkach, a wskutek tego, jak się później przekonałem, i korzyść osobista była daleko mniejsza. Błąd ten jednak później naprawiłem, bo wszystkie dalsze streszczania czyniłem już na podstawie wydań niezmienionych — i na przyszłość postanowiłem sobie tego błędu unikać. — Wprawiłem się w czytanie druku gotyckiego i muszę powiedzieć, że po kilku kazaniach, streszczonych z tego druku, do dalszych streszczeń, mając do wyboru nowsze wydania, brałem stare, gotyckie druki.

Pewien czytelnik wysuwa „jednę z niedogodności tego studjum — a mianowicie trudny dostęp do zbiorów tych kazań. W razie potrzeby dostanie się jedyny egzemplarz i to na krótki przeciąg czasu. Trudno więc zapoznać się gruntowniej z tym czy innym kaznodzieją. Pożądane więc jest dla ułatwienia tego studjum wydanie pewnego rodzaju wypisów, zawierających najznakomitsze mowy wybitnych kaznodziejów ojczystych".

Poznanie tak ważnego w kaznodziejstwie czynnika aktualności będzie jednym z owoców tej lektury: Wspólną cechą niektórych kaznodziejów, jak Skarga, Wujek, Birkowski, Młodzianowski, jest to piętno czasu, odbite na ich kazaniach. Czytając ich dzieła, czuje się, że oni żyją życiem swego wieku, że rozumieją jego słabe strony, jednem słowem, stoją przed nami jako żywi ludzie. — Czytanie cenniejszych autorów kaznodziejskich z czasów Polski niepodległej uważam za wielce pożyteczne, gdyż dzięki temu poznałem choć w części ówczesnego ducha, życie, a co najważniejsze, ówczesną mowę polską, tak jędrną i żywą. Z zajęciem i z przyjemnością czytałem te perły naszego ojczystego kaznodziejstwa, choć mi to sporo czasu zajęło. Kilku autorów nie znałem dotąd nawet z nazwiska, i gdyby nie przymusowa lektura, możebym się sam nie pokwapił do zaznajomienia się z nimi.

Poznanie języka — to dalsza zdobycz naszej lektury, jak nam to stwierdzi cały szereg zeznań. — Co mnie najwięcej uderzyło przy czytaniu kaznodziejów 16 i 17 stulecia, to ich język. Szczególniej tacy kaznodzieje, jak Wujek, Białobrzeski, nie mówiąc o Skardze, występują tu na czoło. Już po przeczytaniu kilku kazań można się było zorjentować, jak był jędrny, pełen życia i dosadny nasz język, choć jeszcze (nie u wszystkich w równej mierze) przeplatany łaciną. Czytając te kazania, odczuwało się, że rodziły się one w twórczym okresie i dla języka i dla kaznodziejstwa. Widać, jak język ten, może na dzisiaj do przesady dosadny, poleruje się z tych wystających sęków. Uderzyła mnie nadto przystępna forma mowy, popularna, pełna przykładów, które niezmiernie ożywiają tok mowy.

Czytając te kazania, poznaje się tę swoistość naszego języka, tę jędrność i dosadność, a nadto, co nam tak trudno przychodzi, to popularność wyjaśniania pewnych prawd.

Przedewszystkiem korzysta się pod względem języka. Stare formy przy streszczaniu tych kazań z konieczności zastępuje

się nowemi. Wiele jednak spotyka się wyrażeń, których można z powodzeniem używać, bo mają głęboką treść, a formę piękną, często dosadną. Czytając te kazania, przypomina się wyrazy mało używane; bogactwo, a nierzadko nadmiar słownictwa, nadto takie łączenie wyrazów, że z nich myśl jasno przegląda— ułatwi nam w znacznym stopniu pracę kaznodziejską.

Czytałem nietylko te kazania, które streszczałem, ale i inne, które mię zaciekawiały — i *wypisywałem* sobie z nich do *kolektaneów* nietylko teksty Pisma św., lecz i *oryginalne, jędrne, przekonywujące wyrażenia.*

Przy studjum formy nie uszła uwagi czytelników i *obrazowość mowy*, jak to potwierdzą następujące głosy: Zauważyłem, że nasi kaznodzieje 16. i 17. stulecia używają wielu *porównań*, co w kazaniach dogmatycznych i katechizmowych ma wielkie znaczenie, bo wykładane prawdy lepiej uprzystępnia. Takie porównania daje ks. Skarga, Birkowski i Młodzianowski.— Większość tych kaznodziejów tłumaczy rzeczy Boskie tak *obrazowo*, na sposób ludzki, że i umysł najprostszy musiał taki wykład rozumieć. — *Przykłady* w tych kazaniach są nadzwyczaj praktyczne, życiowe, przekonywujące, ładne i łatwe do zapamiętania. Szczególnie podobały mi się takie przykłady w kazaniach ks. Rychłowskiego.

Ciekawe będzie stwierdzić, *którzy kaznodzieje zwrócili na siebie największą uwagę.* Wskażą ich nam czytelnicy naprzód sumarycznie, a następnie indywidualnie. Oto ich opinje i upodobania: Najwięcej skorzystałem ze Skargi, Birkowskiego i Rychłowskiego. — Niektórych autorów kazania bardzo mi się podobały — i możnaby je mojem zdaniem dzisiaj głosić z ambony. Do tych autorów zaliczam ks. Skargę, Białobrzeskiego, Wujka i Rychłowskiego. Od nich to nauczyłem się, że prawdy wiary należy ludziom przedstawiać przystępnie, praktycznie i obrazowo. — Aczkolwiek wszystkie kazania, które sobie wybrałem do streszczenia, czytałem wolno i z zastanowieniem, aby przecież jakiś pożytek dla swej późniejszej pracy kaznodziejskiej osiągnąć, to jednak jakoś więcej zainteresowały mię kazania ks. Skargi, Rychłowskiego i Wujka. W ich kazaniach spotkałem wiele dosadnych wyrażeń i zwrotów, które mi się bardzo podobały, bo dobrze wyrażały to, co kaznodzieja zamierzał słuchaczom powiedzieć. — Dla mnie większe znaczenie posiadają kazania Rychłowskiego, Starowolskiego, nie mówiąc o filarach kaznodziejstwa, jak np. Skarga i inni, aniżeli np. ka-

zania Młodzianowskiego, w których niekiedy spotyka się grę słów i bawienie się mową.

Odrębny widnokrąg rozciąga się przed czytającym utwory kaznodziejskie ks. Skargi. Wtedy już kaznodziejstwo nie staje się dlań ciężarem nie do zmożenia. Odrazu wstępuje w człowieka jakaś moc ukryta, która nieprzeparcie ciągnie ku tej pracy. Czytaniem kazań ks. Skargi rozkoszuje się człowiek, zdaje mu się wtedy, że żadne trudności nie są w stanie powstrzymać go od oddania się pracy na ambonie. To też przyznam się, że przeczytałem prawie wszystkie kazania świąteczne ks. Skargi. Zaczynam również rozumieć, czem jest ks. Skarga dla dzisiejszej szkoły kaznodziejskiej, którą tworzy ks. bp. Szlagowski. Tu odczuwa się tę wielką szkodę, że wydawnictwa tego autora są tak skąpe. Bo czyż nie wolałby każdy zamiast kupować przekłady obcych autorów, nabyć swego rodzimego autora?

Kazania ks. Skargi zostają mi w pamięci jako najlepszy przykład. Tu widać wspaniały układ, przejrzystość, porównania klasyczne, brane z życia, mnóstwo dowodów z Pisma św., a jednak nie odczuwa się przeładowania. — Szczególnie podobają mi się kazania naszego Chryzostoma — ojca Skargi i polskiego Hieronima — ojca J. Wujka. Obaj wzbogacili mowę polską szeregiem nowych wyrazów i oczyścili ją z obcych naleciałości. Ks. Skarga nie ubiega się wprawdzie o kunsztowne zwroty, a jednak styl jego żywy i jędrny, ma wspaniałe obrazy i porównania życiowe. Ks. Wujek — to szczególny znawca Pisma św. i pisarzy kościelnych. W kazaniach swoich ma dużo cytat Pisma św., z których często wyprowadza wzniosłe myśli i wnioski praktyczne.

O Wujku przytoczymy jeszcze jeden głos: Zapoznanie się z kazaniami Wujka nie pozostanie bez korzyści. Nie będzie to przesadą, jeśli powiem, że czytając tego kaznodzieję, nabiera się pędu do pójścia naprzód po drodze pilnego studjowania kaznodziejskich autorów... Trzeba bowiem przyznać, że autor ten ma coś w sobie, co każdego nieuprzedzonego przejmuje do głębi. Jest to duch pobożności i silnej wiary. Duch ten udziela się czytającemu.

Innego czytelnika pociąga ku sobie O. Fabjan: Jeśli zaś który autor lepiej mi odpowiada, to on, poznany w lekturze, stanie się moim wzorem w pracy kaznodziejskiej. Mnie np. najwięcej się podobają kazania ks. Fab. Birkowskiego, choć

odległe wiekami, to jednak bliskie duchem, choć czasem słowa niezrozumiałe, to jednak pociągają obrazy, sposób ujęcia, jakby mickiewiczowski. Pragnę więc zdobyć Birkowskiego i nim się posługiwać w pracy kaznodziejskiej.

Idąc dalej w pracy kaznodziejskiej, spotykamy się z ks. Rychłowskim. Uderzyło mię to, że jego kazania są przepojone silnem uczuciem. Nadają się one bardzo dla wiejskiego słuchacza. Materjału nie skąpi i trafnie umie powiązać wypadki z życia P. Jezusa, M. Boskiej i świętych.

Nie zdziwimy się, jeżeli wśród głosów spotkamy się z zastrzeżeniem co do kazań Młodzianowskiego: Naturalnie nie ze wszystkich kaznodziei można jednakowo korzystać. Na pierwszem miejscu bezwątpienia należy postawić Skargę. Inni nadają się do czytania mniej lub więcej, niektórzy tylko dla poznania ducha czasu. Można się od nich najwyżej uczyć, czego należy unikać, aby ambona nie sprzeniewierzyła się swemu powołaniu. A więc unikać wszystkiego, co ma na celu bawienie słuchacza, co budzi pustą ciekawość; czytelnik się przekona, jak niewłaściwe są zwroty i wyrażenia płaskie, śmieszne, obliczone na efekt i rozweselenie słuchaczy; — następnie, że należy w kazaniach unikać niewłaściwego zastosowania tekstów, przykładów, aby kazania nie straciły swego charakteru i nie stały się grą słów, formą bez treści i bez znaczenia.

Przechodzimy z czytelnikami do rozpatrzenia dalszych pozytywnych walorów naszej dawnej kaznodziejskiej literatury, rozpatrywanej pod względem treści — i tu nas zadziwi ta jednomyślna obfitość głosów, podkreślająca wielką pracę „naszych ojców wymowy“ i konieczność ich naśladowania. — Ważną nauką dla nas, przyszłych kaznodziejów, jest to, by dbać nietylko o piękną formę, lecz nadto by treść była obfita; w nią właśnie obfitują kazania starszych autorów. Stąd dla nas wniosek, by się w nich rozczytywać i czerpać z nich myśli, bo na to zasługują. — Znajdziemy tam przykład niezmordowanej pracy nad gromadzeniem materjału kaznodziejskiego, znajomość i umiejętność stosowania Pisma św. na ambonie, dzięki czemu kazanie jest przesycone treścią, którą, mówiąc nawiasem, słusznie można nazwać słowem Bożem.

Naocznie przekonywa się każdy, czytając kazania wybitnych mówców, że byli to ludzie o głębokiej wiedzy nietylko teologicznej, ale i świeckiej. Stąd pobudka dla nas, aby iść w ich ślady. Czytając te kazania, poznaje się budowę ka-

zań, ułożenie i rozprowadzenie materjału, a co najważniejsze, poznaje się, ile trzeba włożyć wszechstronnej pracy, ile potrzeba znajomości ludzi i życia, by napisać kazanie dobre, aktualne, odpowiadające potrzebom słuchaczy.

Mam wrażenie, że wówczas nad kaznodziejstwem pracowano solidniej, więcej i gruntowniej, aniżeli dzisiaj, i że kaznodziejstwo większą rolę odgrywało w życiu i w literaturze. Dziwna rzecz, że nasza literatura ogólna tak mało uwzględnia czołowe postacie dawnego kaznodziejstwa. Poznając ojczyste źródła kościelnej wymowy, nabiera się chęci do pracy, gdy się widzi, jak inni całe życie temu poświęcali. Wniosek ogólny! Więcej nam trzeba zaglądać do tych starych foljałów.

O tych autorach, których studjowałem, mogę powiedzieć, że ich sobie stawiam za wzór, aby poważnie i uczciwie ciągnąć owo jarzmo kaznodziejskie. Na nich będę się kształcił w rzemiośle kaznodziejskiem, oni będą dla mnie filarami, na których będę się starał wznosić swój gmach kaznodziejski. Tak bowiem, jak oni, powinien pracować każdy kaznodzieja chrześcijański, a niezawodnie przyjdzie pomoc Boska w pracy i przyniesie obfite plony.

Poznałem się z wybitniejszymi kaznodziejami dawnych czasów, którzy swój urząd kaznodziejski pełnili sumiennie, jak świadczą o tem ich tomowe dzieła. Stąd dla mnie przykład, by iść w ich ślady i podobnie jak oni samemu pracować.

By się stać kaznodzieją, nie wystarczy napisać jedno lub kilka kazań, lecz stale trzeba w tem „grzebać“ i nie czytać jedynie, bo to rychło z pamięci uleci, lecz pisać. Takie wzory znalazłem w Skardze, Birkowskim czy Wujku, którzy mimo rozlicznych zajęć tyle i tak pisali! Jakąż wielką różnicę widzi się między temi kazaniami a kazaniami dzisiejszej doby... Postanowiłem sobie, czytając stare kazania, ile się da, z nich przedewszystkiem korzystać, tam szukać myśli, z nich czerpać argumenty, a nawet przykłady. Wreszcie od naszych ojców wymowy uczyć się tej mrówczej pracy, bez której niemasz nic trwałego ani wielkiego.

Wyciągnąłem wniosek, że pożyteczniej jest jedno kazanie dawnego autora przeczytać, niż pięć dzisiejszych wysłuchać! Tam faktycznie mamy wzór opracowania kazania; wystarczyłoby dziś zmienić formę i niektóre wyrazy, a skutek możnaby osiągnąć wielki. Mieści się w nich bowiem dużo treści, ma się

tam wzór zastosowania Pisma św. w kazaniu, nie brak i cytatów z Ojców Kościoła.

Ze względu na ważność sprawy nie będziemy skąpili w przytaczaniu świadectw za *dominującą rolą Pisma św.* w dawnej naszej literaturze kaznodziejskiej. — Oto jeden z pożytków lektury tych kazań: poznałem *próbki kazań, opartych przeważnie na Piśmie św.* (i na Ojcach Kościoła). — Podobało mi się umiejętne *wykorzystanie tekstów Pisma św.*, które są udatnie wplecione i harmonizują z całością. Studjum tych kazań poucza, jak stosować Pismo św., jak niem argumentować, przypomina zresztą i tę prawdę, że *Pismo św.* odgrywa w kaznodziejstwie rolę fundamentalną, jest *źródłem niewyczerpanem* do *wszelkich tematów kaznodziejskich*...

Wiem teraz i sam się o to staram, aby prawdy omawiane w kazaniu były potwierdzane Pismem św. i zdaniami Ojców Kościoła. Takie nauki zawierają więcej *namaszczenia* i powagi, a co za tem idzie, większy skutek osiągają. W tem przekonaniu utwierdziłem się, czytając i streszczając kazania ks. Skargi, ks. Wujka, bpa Karnkowskiego i inne. — Co mnie jeszcze uderzyło przy czytaniu tych kazań, to właśnie ta obfitość cytat z Pisma św., które każdemu kazaniu nadają *nadprzyrodzony charakter* i wyróżniają je od wszelkiej innej mowy. I to dla mnie jest wskazówką, żeby do kazań korzystać z tej księgi Bożej, z tego niewyczerpanego źródła mądrości, które daje rozwiązanie na wszelakie trudności życia ludzkiego. — Przekonałem się, ile to w tych starych księgach mieści się mądrych myśli, jak z każdego słowa tchnie namaszczenie i powaga. Zwłaszcza w kazaniach ks. *Skargi* przy pięknym stylu, przejrzystości układu, tchnie to namaszczenie i powaga. U *Wujka* również widać tę powagę, którą się odznacza jego przekład Pisma św.

W dawnych kazaniach rzuca się w oczy panujący w nich *duch biblijny* i ton pełen namaszczenia. Pismo św. Nowego, a zwłaszcza *Starego Testamentu*, jest obficie cytowane. Służy ono nietylko do argumentacji w polemice, lecz i do obrazowania życia Bożego i ludzkiego.

Cytują Pismo św. z głęboką znajomością, chociaż nie brak im znajomości świeckiej literatury. Poprostu podziwiam *znajomość* Pisma św. *Starego Testamentu*, o czem dzisiejsi kaznodzieje prawie że zapominają. Zwłaszcza u ks. Skargi

podoba mi się argumentacja, oparta na Piśmie św., albo np. ta umiejętność łączenia tekstów, że niepostrzeżenie zjawia się nam trafnie dobrany cytat.

Przekonałem się, jak wielką kopalnię dla kaznodziei stanowi Stary Testament i pisma Ojców Kościoła. W nich, a zwłaszcza w Piśmie św. Starego Zakonu, znajduje się mnóstwo pięknych myśli, cytat, zawierających zawsze żywe dla człowieka sprawy. One to, tak nieraz plastyczne, użyte w kazaniach, ożywią je i w wielkiej mierze przyczynią się do osiągnięcia celu kazania. Trzeba się z temi źródłami koniecznie bliżej zapoznać.

Czytając kazania wskazanych nam autorów, zauważyłem, że przeważnie dają oni masę porównań i nauk ze Starego Testamentu. Przekonanie, aby zwrócić uwagę na Stary Testament, to pierwszy mój owoc streszczań. — Dowiedziałem się, jak umiejętnie ci erudyci używali tekstów Pisma św. Starego Testamentu, co mi nasunęło myśl, aby gromadzić takie teksty na użytek ambony.

Dalej mogą te kazania służyć jako wzór co do sposobu posługiwania się Pismem św. i pod tym względem stoją one o wiele wyżej od kazań dzisiejszych, którym brak tego życia, jakie się u dawnych znajduje. Widać, ży były mówione z większem przekonaniem i przejęciem. Korzystając z nich, można osiągnąć większy pożytek, niż z kaznodziejów ostatnich czasów.

Znając już ze studjum homiletyki zasady budowy kazań, i na ten punkt zwrócili nasi czytelnicy należytą uwagę: Duże zainteresowanie budziło we mnie rozprowadzenie materjału i sama budowa kazań, na co też zwracałem największą uwagę.— Pod względem budowy i układu kazania te (Skargi, Wujka, Karnkowskiego) uczyły mię, że zawsze należy mieć na uwadze cel, do którego w kazaniu zdążam, że należy odpowiednio układać dowody i dbać o należyty układ, aby jedna myśl z drugiej wypływała. — Ważną wskazówką dla mej przyszłej pracy jest, by swe kazania budować jasno, przejrzyście i pisać zrozumiale, jak to czynił ks. Rychłowski, a tak budując kazania, cel zamierzony osiągnę.

Czytając te kazania, poznałem, jak je autorzy układali, jak dzielili na części. Przekonałem się, że w każdem niemal można było wyszukać poszczególne części, a więc wstęp, osnowę i zakończenie. Z tego dla siebie wyciągnąłem naukę, że powinny

się te części znaleźć w każdem kazaniu. — Widziałem, że kazania te są dobrze zbudowane, rozbite na części, ze wstępem i zakończeniem, a przez to przejrzyste, rozwinięte w pełni, pisane na temat, a dla słuchacza łatwe do zapamiętania. Dla siebie wyciągnąłem wniosek, aby iść w ich ślady, gdy przyjdzie mi przygotowywać i mówić kazania.

Nasi uważni czytelnicy wypatrzyli u dawnych autorów niepospolitej ceny walor kaznodziejski — mianowicie należytą argumentację. I pod tym względem palmę pierwszeństwa przyznają Skardze. Oto ich głosy: Inna korzyść ze streszczania tych kazań: starałem się przyswoić sposób przeprowadzania argumentacji w kazaniach, czego niezrównany wzór znalazłem u ks. Skargi.— Najwięcej mi się podobała argumentacja ks. Skargi, nietylko historyczna, ale i myślowa, tak wykazująca prawdę, że ją każdy musi przyjąć. — W kazaniach Skargi uderzyła mię niezwykła logika, przy braku wszelkiej sztuczności scholastycznej. — Najbardziej podobały mi się kazania ks. Skargi i ks. Rychłowskiego, a to z powodu ich nadzwyczaj silnej i na czasie argumentacji.

Przechodzimy z naszymi czytelnikami do omówienia realnych owoców tej lektury w postaci nagromadzenia materjałów kaznodziejskich, o czem nam zaświadczą dalsze głosy ankiety: Bezpośrednią i najważniejszą korzyścią było poznanie tych kazań i przekonanie się, że mogą one służyć jako źródło, z którego można bardzo obficie czerpać materjał do kazań. — Starałem się tak streszczać wybrane kazania, abym w przyszłości, gdy mi P. Bóg pozwoli zostać kapłanem, mógł mieć gotowy materjał na ambonę; nie opuszczałem też zdania, które zawierało ciekawsze myśli. — Nadto mam jeszcze taką korzyść z owych streszczeń, że kiedyś mogą mi się przydać do głoszenia kazań. Wystarczy bowiem przeczytać takie streszczenie, uzupełnić je i rozwinąć w pełne kazanie.

Najbliższa moja korzyść, że tak powiem — materjalna z tej lektury, to streszczenia, jakie porobiłem i mam zamiar nadal to czynić. Zdobyłem w nich materjał, z którego w przyszłości będę mógł korzystać. Żałuję, że się wcześniej nie przekonałem o pożytku czytania dawnych autorów kaznodziejskich. Mógłbym przecież podczas wakacyj znaleźć w tej lekturze bardzo miłą rozrywkę. Mam naukę na przyszłość — i postaram się z niej skorzystać.

Z całej tej pracy czytania i streszczania kazań doszedłem do przekonania, że lepiej jest szukać materjału u starych kaznodziejów, niż posługiwać się niektóremi nowemi wydawnictwami, gdzie jest dużo słów, a treści mało. Kazania bowiem dawne mają treść i to obfitą, a niektóre dzisiejsze — tylko formę i bawienie się w ogólniki.

Pod koniec możemy przejść do zestawienia intymniejszych wynurzeń i ujawnienia postanowień i wniosków naszych przyszłych kaznodziejów. Oto ich zeznania: Muszę się przyznać, że gdy nie znałem bliżej tych kazań, to sądziłem, że niewiele można z nich korzystać. Po fakcie przekonałem się, że byłem w błędzie — i dlatego z tej pracy, choć mozolnej, czuję się zadowolony.

Miałem zamiar, wyznaję szczerze, po przeczytaniu, ze względu na brak czasu, streszczać te kazania jak najkrócej, to jednak niemożliwe było nie wpisać do zeszytu pięknych myśli, a piękniejszych jeszcze wyrażeń.

Wyznam szczerze, że zmuszony koniecznością, nierad zajrzałem do cuchnących książek. A skoro przyzwyczaiłem się do czytania druku i zapoznałem ze stylem autora, ciągniony ciekawością, lubowałem się w czytaniu tekstu, już nie dla obowiązku, lecz poprostu dla osobistej przyjemności.

Czytając te kazania, powiedziałem sobie: dobrze się stało, że mamy nałożony taki obowiązek. Zapewne byłbym nigdy nie widział tych kazań, gdyby nie było obowiązku streszczenia. A duże korzyści zbierze się dla przyszłości. Chciało się czytać jak najwięcej, a czytając, tak wielkiej chęci się nabrało, aby choć trochę dorównać tym wzorom...

Dochodzę do wniosku, aby przez cały czas (4 lata) studjum homiletycznego zaznajamiać się gruntownie z dawnymi kaznodziejami. „Polecanie“ nie wystarczy, o ile nie będzie silnego nacisku ze strony profesora. Dopóki się nie zajrzy do tych foljałów, nie przypuszcza się, że zawierają w sobie tak kosztowne skarby. Gdyby nie nacisk do czytania, toby te cenne klejnoty pięknej mowy ojczystej gnuśniały nadal w zbutwiałych od czasu foljałach.

Można więc jako ostateczny rezultat tych zabiegów ustalić, że nasi czytelnicy pracy nie żałują i żalu za nią do nikogo nie mają.

Naogół rzecz biorąc, skorzystałem dużo ze streszczenia kazań. Wyznanie to choć spóźnione, ale szczere. — Chociaż

z trudem i wysiłkiem trzeba było wpatrywać się w stare hieroglify, to jednak post factum ma się pewne zadowolenie. — Wyciągam ostateczny wniosek: praca ta, aczkolwiek uciążliwa, wydała w rezultacie bardzo cenny owoc i zadowolenie. — Za to, żem się napracował, urazy nie mam... a nawet wdzięczny jestem za pomoc w wyrobieniu kaznodziejskiem.

Na przyszłość wynoszą nasi czytelnicy zachętę do dalszej lektury i odpowiednie postanowienia. Potwierdzi to szereg głosów ankiety.

Najważniejszą rzeczą, jaką osiągnąłem z przeczytania podanych do streszczania kazań jest to, że kazania te pociągnęły mię i zachęciły do dalszej lektury. O ile dawniej z niechęcią patrzałem na książkę o języku archaicznym, zwłaszcza gdyby to była książka kaznodziejska (zbytnie uprzedzenie do kazań makaronicznych nabyte w szkole), o tyle dzisiaj już nie dla korzyści, lecz wprost dla przyjemności czytałbym je zawsze, gdybym je miał pod ręką i czas mi na to pozwalał.

Zatem na przyszłość, w miarę możności, będę się starał szukać materjału kaznodziejskiego u dawnych kaznodziejów, oraz uczyć się od nich jasnego, zwięzłego i dosadnego wyrażania myśli. — Ile razy wypadnie mi opracować kazanie, a będę miał sposobność korzystać z dawnych autorów, nie omieszkam tego uczynić...

Nie przytaczam klasycznych wyrażeń, porównań i zwrotów, które zebrałem ze streszczonych kazań, ale echo głębokiej treści i poważnej formy jeszcze dotąd brzmi w mych uszach, tak że w przyszłości muszę się jeszcze bliżej z tymi kaznodziejami zapoznać.

Dla zachęty do wytrwania w postanowieniach zamkniemy tę długą ankietę apelem jednego z naszych czytelników: Nie możemy naszym dawnym kaznodziejom przypisać doskonałości pod każdym względem, a szczególniej co do formy zewnętrznej, co do pewnych wyrażeń już dzisiaj może niezrozumiałych, przestarzałych lub śmiesznych. Ale znajdziemy tam ducha chrześcijańskiego, żar miłości, to śmiałe głoszenie całej prawdy, a ganienie i chłostanie wad, obłudy i fałszu. Przecież takie kazania ks. Skargi były pisane u stóp krzyża... Przez bogate cytaty, czerpane z takiej księgi kaznodziejskiej, jaką jest Pismo św., zbudował dla nas kaznodziejów piękny wzór.

Do nas przeto należy, gdy inni nie mogli czy nie chcieli, te skarby wydobyć na światło dzienne, ze

strychów kościołów, plebanij, chórów, i nietylko je otrzepać z pyłu, ale czerpać z nich pełnemi dłońmi dla pogłębienia naszej wiedzy i pożytku duchowego naszych słuchaczy.

ŚW. FILIP NERJUSZ TWÓRCĄ NOWEJ SZKOŁY KAZNODZIEJSKIEJ[1].

W poprzednich rocznikach „Przeglądu Homiletycznego“ (IV. z. 4, V. z. 2 i 3. VI. z. 2, VII. z. 1), znajduje się cykl cennych artykułów p. t. „Teoretycy i twórcy szkół kaznodziejskich“. Czcigodny autor podał tam piękne sylwetki św. Wincentego a Paulo, św. Alfonsa Liguoriego i św. Franciszka Salezego. Sądzę jednak, że wzorem i mistrzem tych świętych w zakresie kaznodziejstwa był św. Filip Nerjusz.

Urodzony we Florencji w r. 1515, po latach dziecięcych i chłopięcych, spędzonych w niewinności, udaje się w 18 roku życia do San Germano do swego stryja Romolo Neri, bogatego kupca, który, poznawszy jego zalety, chciał go uczynić spadkobiercą swego majątku. Młodzieniec jednak nie przyjmuje tej propozycji, lecz, pragnąc oddać się całkowicie Bogu, udaje się pieszo bez żadnych środków utrzymania i bez rekomendacyj do Rzymu, gdzie przez cichą, pokorną, lecz owocną działalność i wpływ, jaki wywierał na wszystkie warstwy społeczeństwa, zyskał sobie miano apostoła Rzymu. Apostolstwo swoje rozpoczyna Filip już jako młodzieniec w stanie świeckim.

Było to w pierwszych latach pobytu Filipa w Rzymie. Był on młodzieńcem urodziwym i liczył wtedy około 20 lat. Gdy pewnego razu przechodził przez ulice w skupieniu i zamyśleniu, spotkał dwóch nieznanych mężczyzn, którzy, przypatrzywszy się mu bacznie, zbliżyli się doń i namawiali go, by porzuciwszy Boga, oddał się w objęcia rozkoszy cielesnej. Ta bezwstydna propozycja jakby gromem uderzyła w świętego młodzieńca; krew zbiegła mu do serca, twarz oblała się rumieńcem. Z oburzeniem i świętą dumą odparł nieczystą pokusę. Gdy jednak niegodziwcy coraz natarczywiej nań nacierali, zwrócił się do Boga o pomoc, rozmyślając co tu począć. Postanowił wreszcie zawstydzić kusicieli i nawrócić ich na drogę cnoty.

1) Na podstawie dzieła: Alfons kard. Capuelatro, La vita di San Filippo Neri, Napoli 1879.

Była to myśl zbyt śmiała, jak na młodzieńca. Lecz czyż człowiekowi prawdziwie wielkiemu braknie kiedy odwagi? Filip przemówił do nieszczęsnych o Bogu, Jego dobroci, umiłowaniu dóbr niebieskich i nagrodzie, obiecanej ludziom czystego serca, a mówił z taką mocą i tak widocznym zapałem miłości, że napastnicy nietylko przestali go kusić, lecz postanowili wrócić na drogę cnoty.

Tak tedy pokusa nie przyćmiła świetlanego blasku duszy Filipa, lecz owszem przyczyniła się do utwierdzenia go w cnocie i podała mu sposobność do rozpoczęcia chrześcijańskiego apostolstwa, które przez lat blisko 60 tak owocnie rozwijał w Wiecznem Mieście. Zapalony ogniem miłości Bożej i żądzą zbawiania dusz, odwiedzał szpitale i serdecznemi, pełnemi namaszczenia słowy krzepił i pocieszał chorych. Chodził też do sklepów, warsztatów, banków, z temi samemi słowy serdecznej miłości i mocy niezwykłej. Widziano go nieraz na ulicach i placach publicznych wśród gromady ludu. Nie interesy ziemskie, ni próżna ciekawość gromadziła ludzi koło niego, lecz podziw i rozkosz słuchania tego miłego młodzieńca. Chodził też do szkół, by tam siać ziarna mądrości ewangelicznej w dusze dziecięce. Ziarna te wschodziły bujnie, bo siewca był miły Bogu, a Boski Ogrodnik użyzniał je łaską swoją.

Nowe to i niezwykłe apostolstwo, obejmujące okres około 10 lat, przyniosło błogie i obfite owoce. Pomiędzy wieloma, których Filip pozyskał Bogu, był niejaki Henryk Pietra z Piacenzy, zajęty w sklepie bławatnym dei Bettini, który porzucił świat, został uczniem Filipa, później kapłanem i po budującem życiu w San Girolamo della Cavità zmarł śmiercią świątobliwą. Drugi Teseo Raspa porzucił także świeckie zajęcie, żył również pobożnie i zmarł w San Girolamo. Pozyskał także Filip Jana Manzolego, zajętego w sklepie dei Bonsignori, który, aczkolwiek pozostał w stanie świeckim, prowadził wzorowe życie. Wielu też za namową Filipa porzucało świat i wstępowało do zakonów. Stąd też św. Ignacy Loyola porównywał żartobliwie św. Filipa do dzwonu, który wzywa ludzi do kościoła, a sam nie idzie.

W. r. 1548 założył św. Filip wraz z swoim spowiednikiem, ks. Persiano Rosa, Bractwo św. Trójcy dla opieki nad pielgrzymami (Trinità dei Pelegrini). Członkowie tego Bractwa obok innych ćwiczeń pobożnych prowadzili proste i budujące rozmowy o Bogu. Był to początek nowej metody kaznodziejskiej

św. Filipa, która miała się stopniowo rozwinąć i wydać błogie owoce. W każdą pierwszą niedzielę miesiąca i w Wielkim tygodniu urządzano 40-togodzinne nabożeństwo w kościele San Salvatore in Campo, w czasie którego Filip odważył się głosić Słowo Boże. Chociaż jeszcze nie był kapłanem, lecz sława jego świętości i zbawienne skutki jego przemówień na ulicach i placach publicznych zjednały mu nietylko tolerancję, lecz i uznanie słuchaczy. Mowa jego nie była podobna do bystrego, rwącego potoku, który wszystko obala i porywa, lecz do małego strumyka, który cichutko płynąc, użyźnia pola i umila okolice. Ktoby sobie chciał wyrobić pojęcie o jego wymowie, niechaj nie myśli o groźnej i porywającej wymowie św. Hieronima lub św. Jana Chryzostoma, lecz niechaj się cofnie aż do czasów Chrystusa Pana i przypomni sobie prostotę i wdzięk przypowieści ewangelicznych, kazania na górze lub nad jeziorem Genezaret.

Kazania Filipa miały taką moc przekonywającą, że nikt się jej oprzeć nie zdołał. Umiał w szczególniejszy sposób przenikać do głębi duszy i kruszyć najtwardsze serca.

Pewnego razu weszło do kościoła San Salvatore in Campo kilku wyuzdanych młodzieńców prawdopodobnie tylko z ciekawości. Lecz prostota i zapał wymowy Filipa takie na nich wywarły wrażenie, że oświeceni łaską Bożą porzucili ciemne drogi występku, a weszli na jasną drogę cnoty. — Zdarzało się też, że niektórzy przychodzili na jego kazania w celu wyśmiania świeckiego kaznodziei, a wracali pełni czci dla niego i skruszeni.

Skądże jednak — spytamy — u człowieka świeckiego tyle zdolności i zapału kaznodziejskiego? Łatwo to odgadnąć, jeśli zważymy, że Filip zaraz po przybyciu do Rzymu oddał się z całym zapałem studjom filozofji i teologji pod kierunkiem najsłynniejszych mistrzów ówczesnych, i to z takim skutkiem, że później zaliczano go do najuczeńszych mężów swego czasu. Z tych pełnych miłości studjów teologicznych płynęła u niego wymowa święta, czysta, prosta, a skuteczna, bez pompy i próżności świeckiej. Drugiem źródłem tej wymowy było studjum Pisma św. Bardzo roztropnie połączył Filip ze studjami teologicznemi studjum Pisma św. Kto bowiem chce głębiej wniknąć w piękno Pisma św., ten musi być teologiem. I odwrotnie: teologji też braknie światła i bogactwa, jeśli choć trochę oddali się od Słowa Bożego, tego prawdziwego i wiecznego źródła światła i życia. Zapał zaś tego świeckiego kaznodziei płynął ze

serca, przepełnionego i cudownie w dosłownem znaczeniu rozszerzonego miłością Bożą i żądzą zbawiania dusz, jakiej nawet — niestety — i u kapłanów nie znaleźć.

W 36 roku życia za radą, a raczej na wyraźny rozkaz swego spowiednika, Persiano Rosa, przyjmuje św. Filip święcenia kapłańskie, które — rzecz jasna — jeszcze bardziej wznieciły w jego duszy płomień miłości Boga i bliźniego. Opuszcza wtedy swą skromną izdebkę, a raczej pustelnię w domu swego rodaka, nazwiskiem Galeotto Caccia, i przenosi się do domu San Girolamo della Carità, gdzie kilku kapłanów, a między nimi i Persiano Rosa wspólnie świątobliwe życie wiodło. Teraz znalazł się Filip w swoim żywiole. Nie kazał jednak w kościele, lecz zbierał w swoim pokoiku w godzinach popołudniowych po 8—10 osób i wsparty o krawędź łóżka, wszczynał z nimi rozmowę naprzód o rzeczach obojętnych. Skoro zaś zauważył u nich zaciekawienie i dobre usposobienie, kierował nieznacznie rozmowę na rzeczy duchowne i mówił z coraz większą miłością, zapałem, a zarazem z ujmującą prostotą i słodyczą. Lubiał szczególnie rozwijać trzy tematy: oderwanie się od świata, piękność cnoty i nagroda wieczna. Te tematy wzniecały w nim taki zapał, że mowa jego, acz prosta i bez ozdób krasomówczych, nabierała dziwnego piękna i uroku. Podczas tych mów oblicze jego pałało, serce biło silnie, trząsł się cały, a z nim trzęsło się łóżko, a nawet pokój. Musiał nieraz przerywać mowę, co jednak wcale nie osłabiało wrażenia, owszem je potęgowało, bo wtedy samo oblicze załzawione i wzruszenie Świętego przemawiało wymownie i skutecznie. Miłość tego skromnego kaznodziei obfitowała w inne święte pomysły. Gdy w jego pokoiku zjawiła się nowa osoba, przyjmował ją z weselem, uprzedzającą grzecznością i czułym uściskiem. Gdy to był — przypuśćmy — lekarz, mówił z nim o medycynie. Z filozofem mówił o filozofji, z poetą o poezji [1]) i t. d. W ten sposób umiał sobie wszystkich ujmować tak, że chętnie przychodzili doń po raz drugi, trzeci i dziesiąty. Zwolna dopiero, — nigdy w pierwszym dniu, — zwracał rozmowę na temat religijny i przemawiał serdecznie i porywająco.

Gdy słuchaczów z każdym dniem przybywało, zbudowano osobne obszerne „Oratorium“, gdzie ćwiczenia oratoryjne systematyczną przybrały formę, naprzód w San Girolamo della Ca-

[1]) Filip sam był poetą. Zostało po nim kilka sonetów.

rità, później w kościele San Giovanni dei Fiorentini, a w końcu w Santa Maria in Vallicella, stałej siedzibie kanonicznie 1575 r. utworzonej kongregacji kapłanow, zwanej *„Congregatio Oratorii s. Philippi Nerii* [1]).

Celem ćwiczeń oratoryjnych było obok reformy obyczajów odnowienie kaznodziejstwa XVI w., które było w stanie opłakanym i było jedną z przyczyn powstania herezji Lutra. Z nielicznemi tylko wyjątkami kaznodziejstwo ówczesne kaziły trzy wady: naleciałości pogańskie, próżność i subtelności scholastyczne. Czyste i rodzime piękno dogmatów i moralności chrześcijańskiej było przyćmione, Słowo Boże nie przynosiło owoców. Kto zważy, jakiej sławy zażywali tacy kaznodzieje, jak Barletta, Menot, Maillard, Mariano Gennazzano i Altevanti, którzy dla dodania powagi Słowu Bożemu cytowali w kościele wiersze Dantego i Petrarki — ten rozumie, że kaznodziejstwo ówczesne na błędnej znajdowało się drodze. Znana jest ta sławna odpowiedź kardynała Bembo, na pytanie, czemu nie uczęszcza na kazania: „Co ja tam mam robić? Słychać tam tylko, jak *Doctor subtilis* spiera się *cum Doctore angelico,* poczem przychodzi Arystoteles i rozstrzyga wszystko“. Zresztą tenże sam kardynał radził kardynałowi Saldoleto, żeby porzucił studjum listów św. Pawła, by „tym barbarzyńskim stylem nie psuł sobie smaku“. „Porzuć“ — powiada — te bzdurstwa, niegodne męża poważnego“.

Z boleścią w sercu patrzył św. Filip na ten opłakania godny stan kaznodziejstwa, to też od przybycia do Rzymu aż do późnej starości starał się go leczyć właśnie przez ćwiczenia oratoryjne. Przywrócił do dawnej czci Pismo św., historję Kościoła, Żywoty Świętych, jako główne źródło wymowy świętej. Wprowadził metodę kaznodziejską pełną prostoty, jasności, przystępności, wolną od wszelkiej próżności, napuszystości i przesady.

Porządek ćwiczeń oratoryjnych był następujący: Po krótkiej modlitwie odczytywano ustęp z jakiej książki religijnej,

[1]) W Polsce przyjęła się nazwa: „Kongregacja księży Filipinów“. Są obecnie u nas trzy kongregacje: W Gostyniu, woj. poznańskie. — w Tarnowie, woj. krakowskie — w Studziannie, woj. kieleckie. Kongregacja gostyńska powstała 1668 r. Filipini, wydaleni stąd przez rząd pruski 1876, przenieśli się do Tarnowa, gdzie kongregacja, doczekawszy się odzyskania niepodległości Ojczyzny, wskrzesiła 1919 r. dawną macierz gostyńską. Kongregacja Studziańska powstała 1674 r., zniesiona przez rząd rosyjski 1863 r. Wskrzesiła ją w 1928 r. Kongregacja gostyńska.

poczem jeden z ojców dodawał potrzebne wyjaśnienia, uzupełnienia i zastosowania moralne. Następowały potem cztery referaty: z historji kościelnej [1]), Żywotów Świętych i dwa na tematy moralne, trwające dokładnie po półgodziny. Był też zwyczaj, że między mówcą i słuchaczami nawiązywała się rozmowa, a w nadzwyczajnych wypadkach przemawiały także i dzieci. Charakter tych przemów prosty i serdeczny wyraża reguła oratoryjna: „*In ecclesia nostra, die sabbato ad vacandum excepto, quattuor quotidie — qui fuerint ad hoc oneris munerisque delecti, ordinata successione, verba ad vulgi praesertim captum accomodantes et ad nullam prorsus pompam vel vanum populi applausum declinantes, genere dicendi vere fructuoso audientium animos pascunt, Sanctorum praesertim exemplis ac probatis Historiis sermonem confirmantes. Vitandae enim sunt eis quaestiones difficiles, dogmatum tractatus et quaecunque scholas decent magis, quam oratorium*“ (Cap. III, 1).

Gdy który z mówców wykraczał przeciw tym zasadom, kazał mu Filip zaraz zejść z mównicy, choćby był w pełni kazania. Tu wypada zaznaczyć, że dla nadania przemowom cechy prostoty i poufności mówcy przemawiali bez komży i stuły, siedząco, na kilkustopniowem wzniesieniu, nie przypominającem niczem ambony.

Nie cierpiał też św. Filip niczego, coby schlebiało próżności. Gdy pewnego razu Tarugi [2]) przemawiał z zapałem o błogich owocach cierpienia z miłości ku Bogu, dały się słyszeć liczne i huczne oklaski. Obecny św. Filip, który siadywał zwykle na ławce pod pilastrem, powstał nagle i począł uderzać silnie ręką o pilaster tak długo, aż mówca skończył. Potem wyszedłszy na mównicę, odezwał się głośno, że żaden z członków Kongregacji nie powinien mieć sposobności do próżnej chwały i zbierania oklasków, bo niemasz między nimi takiego, coby choć jednę kroplę krwi przelał dla Chrystusa, i rozwodził się dłużej na ten temat ku zbudowaniu słuchaczy.

Pomimo tej pilnej straży Filipa przed pychą i próżnością, ćwiczenia oratoryjne nabierały rozgłosu. Bo też tam przemawiali mówcy tej miary, jak św. Filip, Baronjusz i Tarugi, zwany „*dux verbi*“, a uczęszczali tam nie sami prostaczkowie, lecz

[1]) Siedm razy przeszedł w ten sposób Baronjusz historję kościelną, skąd wzięły początek jego słynne „Roczniki Kościelne“.

[2]) Został później biskupem w Avignonie i kardynałem.

także mężowie, znakomici stanowiskiem i nauką. Widziano tam kapłanów, zakonników; nie brakło też kardynałów, wśród których znajdowali się: Paleotto, św. Karol Boromeusz, Taverna, Aldobrandini, Cusano, Sfrondati; sam nawet ambasador Toskanji, Alessandro dei Medici, późniejszy papież Leon XI, chodził tam często.

Baronjusz w I tomie Roczników, omawiając zgromadzenia pierwszych chrześcijan, czyni aluzję do ćwiczeń oratoryjnych, twierdząc, że w S. Girolamo odżył dawny zapał apostolski, — a prosty sposób przemawiania porównuje ze sposobem przemawiania św. Ignacego, św. Polikarpa, św. Ireneusza. Wspomina o wdzięcznej wymowie św. Filipa i Tarugiego i kończy, że z wielką rozkoszą patrzył, jak św. Filip wskrzeszał dawny, piękny zwyczaj zgromadzeń apostolskich.

Niejaki Giovanni de Rossi, zwiedzając Rzym 1568 r., napatrzył się dosyta osobliwościom, piękności i bogactwu Wiecznego Miasta, lecz nic go tak nie schwyciło za serce, jak Oratorjum w San Girolamo. „Z wielkiem zdumieniem — pisze tenże — i pociechą patrzyłem na ten ciągły napływ tłumów wszystkich stanów i narodowości, garnących się do Oratorjum, by z wielką rozkoszą słuchać Słowa Bożego, głoszonego tamże z wielkim zapałem. Wielu na skutek tych kazań nawracało się do Boga, bardzo wielu wstępowało do zakonów. Wogóle Oratorjum w San Girolamo, mimo swej prostoty, wydaje mi się jakby punktem środkowym całego życia religijnego w Rzymie“.

Św. Karol Boromeusz, serdeczny przyjaciel św. Filipa, podczas swego pobytu w Rzymie w r. 1579 cały dzień 4 paźdz. przepędził w San Girolamo. Poznawszy tamże dokładnie metodę kaznodziejską św. Filipa, polubił ją wielce i starał się wszelkiemi sposobami rozpowszechnić ją tak w Rzymie, jak w Medjolanie; zastosował ją także w Regule Oblatów.

Lecz jak każde zbożne dzieło, tak i ćwiczenia oratoryjne musiały przejść przez ogień próby. Było to w r. 1570 za pontyfikatu Piusa V. Nieprzyjaźni ludzie donieśli papieżowi, że w Oratorjum św. Filipa zajmują się błahostkami, przytaczają przykłady niestwierdzone, co świadczy o nieuctwie i nieroztropności mówców. Mimo całej czci, jaką żywił dla św. Filipa, papież zaniepokoił się w sumieniu. Do tego i ta okoliczność, że w Oratorjum przemawiali i świeccy, którzy łatwo mogli błądzić w omawianiu kwestyj teologicznych, oraz prostota przemówień mogły budzić uzasadnione poniekąd podejrzenie. Za-

wezwał tedy papież dwóch najtęższych teologów dominikańskich, Paolini'ego i Franceschiego i polecił im, aby każdy z nich osobno udał się do S. Girolamo i przysłuchiwał się przemowom, bacząc pilnie, czy nie natrafią na jaki błąd, nieroztropność lub pomyłkę.

Podczas gdy ci ojcowie przeprowadzali swoje badania, przybył na audjencję do papieża Alessandro dei Medici, ambasador wielkiego księcia Toskańskiego. Po omówieniu spraw poselstwa papież, wiedząc, że Alessandro uczęszcza do San Girolamo, oświadczył, iż słyszał, jakoby tamże w przemowach nie przestrzegano należytej ostrożności. I tak: omawiając męczeństwo św. Apolonji, która sama rzuciła się w ogień, przygotowany jej przez pogan, nie dodano wyjaśnienia, że ten postępek dlatego tylko był dozwolony, gdyż musiał pochodzić z wyraźnego natchnienia Bożego. Medici, zdumiony, nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Czekał tylko sposobności, by mógł przestrzec św. Filipa. Udaje się tedy zaraz po audjencji na kazanie do kościoła s. Maria sopra Minerva i spotyka tam Germanika Fedeli'ego, który w imieniu św. Filipa prosi go, by raczył zaraz przyjść do niego, gdyż pragnie z nim pomówić, a nie może sam przybyć z powodu bólu nogi. Po drodze wstępuje Alessandro, jak zwykle, do Oratorjum, aż tu słyszy, jak Tarugi z rozkazu Filipa opowiada wszystko, co tego dnia zaszło między posłem a papieżem, a potem wyjaśnia dokładnie sprawę męczeństwa św. Apolonji. Zdumiony Medici udaje się zaraz do Filipa, który bez żadnego wstępu tak się doń odzywa: „Ach, dobrze — Sign. Alessandro — cóż to dziś papież mówił o was?“ Alessandro wyznał wszystko otwarcie, utwierdzając się w tem przekonaniu, że Filip tylko z wyraźnego objawienia Bożego mógł o tem wiedzieć.

Przybyli też dwaj posłani dominikanie z relacją, że nic nie słyszeli w Oratorjum, coby się sprzeciwiało zdrowej nauce, lecz owszem podziwiali w tych przemowach wielkie namaszczenie, złączone z gruntowną wiedzą i trafnością wykładu.

Zbyteczna mówić, jak wielce ucieszył się papież tą relacją. Odtąd powziął jeszcze większą cześć dla Filipa. Dwaj zaś dominikanie tak zasmakowali w tej nowej, prostej metodzie kaznodziejskiej, że odtąd byli codziennymi gośćmi w Oratorjum, a nawet sami tamże przemawiali.

Odtąd już nic nie przyćmiło blasku sławy ćwiczeń oratoryjnych i nowej metody kaznodziejskiej, która coraz większe

z każdym dniem zyskiwała uznanie nawet u wybrednych neapolitańczyków, którzy długi czas z nią się oswoić nie mogli. Boć słusznie powiedział Tarugi: „Słowa wychodzące z ust, dochodzą do uszu. Słowa zaś wychodzące z serca, trafiają do serc“.

Zresztą kaznodziejstwo oratoryjne nie było pozbawione tych piękności, których źródłem szlachetność, zapał i wiedza mówcy.

Owszem Tarugi donosi pewnego razu św. Filipowi o przemowie młodego neapolitańczyka, Antonio Carli, który objaśniając słowa Pisma św.: *servire me fecisti in peccatis tuis* [1]) — „wzniósł się aż do nieba i poruszył najrzadsze uczucia“.

Kaznodziejstwo tedy oratoryjne nie odrzuca precz prawdziwej i rzetelnej wymowy, lecz kieruje ją do właściwych zasad, dodając jej tej prostoty, jasności, tego słodkiego wzruszenia, co stanowi jej żywotność i siłę.

Nie dziw przeto, że tę metodę przejęli późniejsi kaznodzieje, a zwłaszcza wspomniani na wstępie trzej teoretycy i twórcy szkół kaznodziejskich: św. Wincenty a Paulo, św. Alfons Liguori i św. Franciszek Salezy. Ten ostatni znał nawet osobiście św. Filipa. Przybył on po raz pierwszy do Rzymu jako 24-o letni młodzieniec, gdy św. Filip był starcem, liczącym 77 lat. Przy wzajemnem spotkaniu św. Filip pocałował w czoło św. Franciszka, przepowiadając mu, że będzie wielkim sługą Bożym i bardzo wiele dobrego zdziała w Kościele. Po śmierci św. Filipa (1595 r.) utrzymywał św. Franciszek czułe i serdeczne stosunki z Kongregacją rzymską, a szczególnie z Baronjuszem i Anciną, późniejszym biskupem Saluzzo. Był nawet z woli papieża Klemensa VIII pierwszym przełożonym Kongregacji św. Filipa w Thonon, którą sam zaprowadził.

Św. Wincenty a Paulo na konferencji o metodzie kaznodziejskiej w r. 1655 powołuje się wyraźnie na Oratorjanów w Rzymie [2]).

Capecelatro, charakteryzując działalność kaznodziejską św. Alfonsa Liguori'ego, tak pisze: „Warto tu zauważyć, że Alfons, studjując kaznodziejstwo, miał w szczególniejszy sposób na uwadze św. Filipa Nerjusza: odkąd zaczął głosić kazania, pragnął być nietylko jego uczniem, lecz synem. Więc jak Filip, który kaznodziejstwo swego czasu znalazł skażone próż-

1) (Is. 43, 24).

2) Patrz „Przegląd Homiletyczny“. R. IV, z. 4, str. 265.

nością, gadulstwem, pretensjonalnością i wogóle naleciałościami wymowy świeckiej, starał się przywrócić jej wdzięk prostoty i czystości ewangelicznej, — tak również czynił św. Alfons. W przepięknym liście do pewnego kaznodziei dwukrotnie z wielkiemi pochwałami wspomina prostotę przemawiania św. Filipa [1]).

W wspomnianym liście św. Alfons, wyczerpująco, systematycznie i najobszerniej wyrażając swe poglądy na sprawę kaznodziejstwa, tak pisze: „Kaznodzieja winien unikać dwóch rzeczy: podniosłych myśli i próżnej elegancji w ich wyrażaniu. Co do pierwszego podobało się Bogu, by wszyscy przełożeni naśladowali ten rys, o którym wzmiankowano w żywocie św. Filipa Nerjusza. Rozporządził on, by kaznodzieje jego zakonu nie poruszali przedmiotów scholastycznych, nie wyszukiwali idej zbyt górnych, lecz mówili o rzeczach pożytecznych i popularnych. On sam, gdy zasłyszał, że kaznodzieja traktuje przedmioty zbyt subtelne, albo sensacyjne, sprowadzał kaznodzieję z mównicy, choćby był w całej pełni kazania. Ostatecznie polecał wszystkim stosować się do tego, by piękno cnoty i obrzydliwość występku malować stylem prostym i łatwym“ [2]).

Widzimy tedy, że św. Filip, aczkolwiek nie zostawił po sobie żadnych kazań ani traktatów o kaznodziejstwie, jak wyżej wspomniani Święci, słusznie może być uważany za ich mistrza lub przynajmniej poprzednika w zakresie kaznodziejstwa, — owszem śmiałbym go nazwać twórcą nowej szkoły kaznodziejskiej.

O wpływie, jaki wywarł św. Filip w Rzymie, tak pisze Ludwik Pastor w „*Geschichte der Päpste:* „Nieznacznie i jakby sam przez się rozszerza się coraz bardziej zakres jego działalności i wpływu, aż wreszcie za Grzegorza XIII obejmuje cały Rzym i na ostatku Kościół cały, aż wreszcie kardynałowie i papieże, nauka i sztuka hołd mu składają, a co najważniejsza, tysiące czczą w nim sprawcę swego szczęścia w czasie i wieczności. — Jemu to przedewszystkiem zawdzięczać należy, że już w r. 1576 według relacji posła weneckiego, Paolo Tiepolo, całe miasto porzuciło dawną lekkomyślność, obyczaje, tryb ży-

[1]) Instruzioni e Avertimenti eis predicatori un Religioso unico—Opera S. Alphonsi — Torino, 1887, vol. III.

[2]) Patrz „Przegląd Homiletyczny“, R. V, z. 2, str. 93.

cia stały się bez porównania skromniejsze i bardziej chrześcijańskie tak, iż powiedzieć można, że pod względem religijnym Rzym znajduje się w dobrym stanie i niezbyt daleko może od tej doskonałości, do jakiej wogóle zdolna jest ludzka niedoskonałość" [1]).

Oto owoce jego prostej metody kaznodziejskiej. Znane są nam także błogie i obfite skutki prac kaznodziejskich św. Wincentego a Paulo, św. Alfonsa Liguori'ego, św. Franciszka Salezego, a z nowszych św. Jana Vianneya. Uczucie podziwu ogarnia nas, a rumieniec wstydu pali nasze oblicze wobec tak nikłych owoców naszej pracy kaznodziejskiej mimo wysiłków z naszej strony. Ba — ależ to byli kaznodzieje... święci! W tem sedno rzeczy! Świętości nam brak! Nie olśniewających swą formą, lecz wzruszających serce i pobudzających wolę, kazań nam trzeba, — bo moc i skuteczność Słowa Bożego *„non in persuasibilibus humanae sapientiae verbis, sed in ostensione spiritus et virtutis"* [2]).

Ks. Jan Pabis,
ze Zgromadzenia ks. ks. Filipinów
w Tarnowie.

AMBONA I ŻYCIE.

CZY PRZYTĘPIONY MIECZ DUCHA?

Pewien kaznodzieja, znawca obecnej doby, wyraził się niedawno, że ewangelja w swej pracy werbunkowej ma dziś wybór między dwiema metodami: albo ozdobi świątynię, rozłoży skarby prawdy i łask, i będzie czekać, aż ludzie przyjdą; albo, jeśli się ich nie doczeka, przywdzieje siermięgę i wyjdzie, jak ongiś, z świątyni na ulice życia, aby tych szukać, którzy sami drogi już nie znajdują [3]). Słowa te odnosi autor głównie do treści ewangelji; powinniśmy wszakże objąć niemi również formę przepowiadania [4]). Tu znowu przychodzą nam na myśl znane i wielokrotnie powtarzane słowa św. Klemensa Dworzaka, że ewangelję należy głosić w nowy zupełnie sposób.

---

1) Ludwik Pastor: Katoliccy reformatorzy XVI stulecia. — Tłum. ks. biskup Piotr Mańkowski — Kraków, 1924. Wydawnictwo ks. ks. Jezuitów.

2) I Kor. 2, 4.

3) Linhardt, Von Menschen und Dingen der Zeit.

4) Kwestję nowożytnego języka kaznodziejskiego kilkakrotnie już poruszył ks. N. Cieszyński. Np. w „Przegl. Homil." 1929, str. 113 n., 1930, str. 118 nn.

Wymaganie to właściwie całkiem oczywiste i wcale nie nadzwyczajne. Wszak każda epoka mówi swoim językiem. Święty Paweł na Areopagu stoi wśród ówczesnych jako jeden z nich — myślą i mową. A staje się on nam dzisiejszym tem zrozumialszy, im dokładniej obecna filologja poznaje język i terminologję jego okresu. Ojcowie Kościoła ubierali treść objawienia chrześcijańskiego w językową szatę swej doby. Tak samo misjonarze dzisiejsi głoszą zasadę „akomodacji", potrzebę zerwania ze zgubnym „europeizmem", konieczność natomiast zbliżania się do dusz krajowców, zapoznania się z ich światem, ich umysłowością, ich językiem. Stąd tak aktualna sprawa kleru rodzimego na misjach. Głębsza od dawniejszej znajomość psychologji i wysnute z niej psychologiczne zasady dydaktyki wskazują tę drogę.

Nie może więc pozostać bez wpływu na nasze przepowiadanie charakter najnowszej doby — chociaż słowa św. Pawła I. Kor. 1, 17 muszą trwać niewzruszone. Zabarwić się ono winno i przekrwić tem nowem życiem, którego świadkiem literatura, sztuka oraz wszelkie dziedziny życiowe. Monachjum nie mogło się nasłuchać, gdy pierwszy raz kapłan katolicki jezuita Lippert zaczął przemawiać językiem współczesnych [1]). Rytm wielkiego miasta (Berlina), jego życie, mowa tętni w głośnych kazaniach ks. Sonnenscheina. Próby zobaczymy później. W swych objaśnieniach perykop niedzielnych pragnie ks. S. przybliżyć ewangelję do dzisiejszego żywego człowieka. Chce mu dopomóc wyrównać czasową przestrzeń 2000 lat, dzielących nas od Zbawiciela. Wydarzenie ewangeliczne przenosi w środowisko współczesne.

„Teksty biblijne mają według niego dziś takie właśnie zadanie: zatem winny się odbić o ściany wielkomiejskich koszar robotniczych, o wille śmietanki berlińskiej na Kurfürstendamm i o dusze dzisiejszych, częstokroć tak nieprzystępnych ludzi. To było dlań zadaniem życia. Styl jego przybiera często śmiałe formy; obrazy jego bywają nieraz zastraszająco swobodne i swoiste. Niejeden też nie podąży odrazu za tempem jego składni; powalają go bodaj natarczywe, trafne aforyzmy i swoiste zwroty. Ale tem właśnie stworzył sobie Sonnenschein, również jak w kazaniach, środek niezawodnej skuteczności. Wstrząsa pogrążonych w najgłębszym śnie, najbardziej nawet

1) Seele, 1929, str. 277.

zadumanych i najobojętniejszych. Nie można go nie słuchać. A ponieważ nigdy nie mówi dla siebie, tylko zawsze dla swej wiary, więc mu się udaje nawet powszednie przepisy naszej religji przedstawiać jako rzeczy zawsze ważne i słuszne.

Przyznać trzeba, że jego mowa ma coś z metod nowożytnej propagandy reklamy świetlnej, jaskrawawych nagłówków wielkich dzienników. Ale co się tam może narzuca hałaśliwie, i to często w rzeczach błahych, tu zawsze przybiera postawę wielkiego mistrza pióra, który wie, o co nam chodzi i chodzić powinno“ [1]).

Nie można oczywiście kopjować Sonnenscheina, którego system ma nam jedynie służyć do ilustracji omawianych tu tendencyj. Kaznodzieja, chcący się im poddać, napotyka na drodze różne trudności. Niebezpieczeństwo skostnienia, zgalwanizowania form przestarzałych jest w mównictwie kościelnem większe, niż gdzieindziej. Tradycja krępuje ruchy kaznodziei i tłumi jego porywy. Od młodych lat brzmią mu w duszy i w uszach utarte, wiekowe formy ujmowania pewnej myśli sposobem określonym. Bierze je żywcem z podręczników teologicznych, ze zbiorów kazań, z literatury ascetycznej. Tłum jest ociężały, nieskory do odmian; kaznodzieja liczy się z jego przyzwyczajeniami i woli stąpać ścieżkami wydeptanemi. Przytem unika zarzutów nowatorstwa, któreby mogły go spotkać od tych, co błędnie sądzą, że niezmienna treść ewangelji ma zawsze występować w niezmiennej formie. Trzeba więc zdobyć się na odwagę; w przeciwnym razie z kazań będzie wiał duch jednostajności, staroświeckości, niezdolny poruszyć umysły słuchaczy.

Temat i myśli tutaj poruszone nie są wcale ponownem odkrywaniem Ameryki. Już niejeden kaznodzieja zaprzątał sobie niemi głowę. Mimo to, a może i dlatego właśnie, nie zawadzi sprawę tę poruszyć na podstawie głośnej dziś w Niemczech publikacji. Mianowicie autor bardzo ciekawej „Trylogji akcji katolickiej, ks. Emil Fiedler, poświęca temu problemowi nieco miejsca w pierwszym jej tomiku [2]), pod tytułem: „Grzechy naszych ojców“, którego cały pierwszy rozdział zatytułowany: „Duch — Słowo — Komunał“ jest niejako rachunkiem sumienia z tej dziedziny. Za pozwoleniem autora podajemy jego

1) Bachmann, Sonnenschein als Stilist.

2) Emil Fiedler, Defensive oder Offensive? Eine Trilogie der kathol. Aktion. 1 B. Von den Sünden unserer Väter. Verlag Rauch, Wiesbaden, 1929.

wywody, na początku w streszczeniu, a potem w całej rozciągłości. Rozdział ten powstał z wykładów głoszonych w kilku niemieckich miastach uniwersyteckich.

Chrześcijaństwo przeżywa dziś kryzys. Skutki jego nie objawiają się tak jaskrawo, jak np. rewolucji lub epidemji. Przesilenie to działa raczej jak powolna, ukryta choroba, niszcząca ważne narządy organizmu. Wygląd chorego nie bardzo się zmienia. Widać tylko wzmagającą się obojętność, niechęć do wszystkiego, co się nazywa wiarą, światem drugim, religją autorytatywną i objawioną. Dusze są niedokarmione. Nie dlatego, żeby miało zabraknąć karmy duchowej. Owszem, jest jej nawet za wiele. Ale im już nie smakuje strawa chrześcijańska. Na drzewie Kościoła niezliczone gałązki, liście usychają, żółkną, odpadają, albo sterczą jak suche drzewa. Należy przypuszczać, że dopływ soków żywotnych miejscami przerwany. Ongiś dzieci pogan stawały się chrześcijanami. Dziś odwrotnie — dzieci tysięcy chrześcijan poganieją. Dokonywa się masami ciche odszczepieństwo, ujawnia powolny zanik myśli religijnej. Ostatni krok, wystąpienie z Kościoła, staje się sprawą czysto formalną, nie budzącą żadnej duchownej rozterki. W Wiedniu wystąpiło z Kościoła w 9-ciu latach 120,000; w niemieckiej części diaspory szwajcarskiej stracił katolicyzm 80,000 na rzecz ateizmu, w Frankfurcie n. M. połowa katolików — 80,000 nie uczestniczy już w życiu kościelnem. Na 330 miljonów katolików ogółem 100 miljonów jest obojętnych, zimnych, zniechęconych, zawiedzionych; 100 miljonów — do których żywotne soki drzewa już nie dopływają...

A przyczyny tego odszczepieństwa? Wiele zawiniły niezawodnie powojenne trudności gospodarcze, nędza, bezrobocie, brak mieszkań. Podstawy zaś świadomości religijnej były bardzo kruche; ani granitowe, ani betonowe, nawet nie drewniane — więc nie wytrzymały takiego naporu. Objaw to całkiem zrozumiały. Nikt przecież nie porzuci religji, którą poznał jako prawdziwą wartość życiową, jako podporę w życiu, jako krynicę prawdziwej radości; jeśli ją poznał jako niezrównaną moc życiową, jaką ona jest w rzeczy samej. Wielu z tych tysięcy, którzy całkiem lub napół odeszli, religja dopomóc nie mogła. Dlatego odeszli.

Inną przyczyną naszych niepowodzeń jest umiejętna, celowa, zorganizowana walka przeciw religji objawionej. W katolickim obozie natomiast śpią. I anioł Boży zdaje się zwiastować: „Nie bójcie się! U was wszystko w porządku“!

Bo też Kościół od stuleci znajduje się w defenzywie. Warunki, konieczność wyparły go do okopów. Wiadomo zaś, że w takich warunkach duch ofenzywy zamiera. Gdzie się ustawicznie zaleca roztropność, ostrożność, tam się tłumi samopoczucie, odwagę i zapał. Z takim rynsztunkiem trudno robić zdobycze. A przecież podbój dusz jest zadaniem Kościoła. On to ma być miastem na górze, widnem, nęcącem, widocznem z oddali. Tymczasem widzi się co roku dziesiątki tysięcy, co byli obywatelami tego miasta, schodzących z góry. — Czemu one odchodzą? Czy uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, by ich powstrzymać? Czy odchodzi ktoś z miejsca, gdzie się dobrze czuje?

Cóż nam z tego, że w Indjach zdobywamy rocznie 10 tysięcy nowych chrześcijan, jeżeli w Europie co rok 25 tysięcy wypisuje się z Kościoła? Czyżbyśmy już nie mieli tym ludziom nic do powiedzenia ani dania!? Nie — nie w tem źródło niepowodzenia! Niema bowiem poglądu na świat, któryby mógł ludziom tyle głębokiej, wielkiej prawdy, tyle pokrzepienia i radości dać i powiedzieć, co Kościół katolicki. Lecz niema też poglądu na świat, któryby w tej mierze, co chrześcijaństwo, zależny był od wewnętrznego, ścisłego zrozumienia, któryby tak, jak ono, oparł się o ducha. Propaganda chrześcijańska zmierza ku przebudzeniu ducha, ku odnowie wewnętrznej, ku dobrom duchowym. Socjalizm np. zdolen jest program swój odnowienia ludzkości wyrazić jedynie wartościami pieniężnemi: lepsze zarobki, wygodniejsze mieszkania, mniej pracy. To są dobra uchwytne, do których nie trudno się zapalać. Zadaniem zaś chrześcijaństwa nie jest rozwiązywanie zagadnień gospodarczych, lecz głoszenie nowego ducha, miłości ku Ojcu i wzajemnej miłości Jego dzieci. Prawda, że nowy ten duch gruntowniej i pełniej niż jakikolwiek program komunistyczny usunąłby niesprawiedliwość społeczną, wyzysk i poniżenie godności ludzkiej. Nie tworzeniem silnych organizacyj rozwiązuje chrześcijaństwo zadanie swoje, lecz przeobrażaniem poszczególnych jednostek.

Ognistym pociskiem ducha jest słowo. Słowem żywem lub pisanem szerzy się każda wiara, każdy pogląd na świat. Czem np. byłby komunizm bez prasy i bez agitatorów? Słowem należy też zdobywać dla chrześcijaństwa każde nowe pokolenie. Dziedzicznie przechodzić mogą z pokolenia na pokolenie formy i zwyczaje zewnętrzne, lecz nie duch i życie we-

wnętrzne. Tego się nie da przekazać. Należy je na nowo rozbudzać w każdem pokoleniu i w każdym człowieku. Stać się chrześcijaninem można przez chrzest; być jednak chrześcijaninem — do tego potrzeba własnym wysiłkiem posiąść ducha Chrystusowego.

Poco mówimy o tem wszystkiem? Czyż to nie oczywiwistość? Owszem, tak. A czyż się nie dosyć o tem każe i pisze? I to prawda. Czemuż tedy wiara coraz bardziej zanika, aczkolwiek jest nauczana, omawiana, opisywana, wygłaszana, w tysiącach publikacyj rozszerzana? Czyż ludzie nie potrafią czytać albo już pogłuchli? A przecież ci sami ludzie dobrze słyszą, gdy chodzi o sprawy tego świata, pobudzeni słowem porywają się do czynu, a nawet popełniają niedorzeczności. Widocznie to głuchota jednostronna: głuchota młynarza, oswojonego z jednostajnym turkotem koła młyńskiego. Słyszy i śpi smacznie; przebudzi się dopiero, gdy się koło zatrzyma, albo zmieni tempo obrotu.

Słowa, które setki i tysiące razy występują w tem samem połączeniu, w tej samej kadencji, w tych samych zwrotach, nie mogą już żadną miarą działać. Albo jeśli działają, to jak koło młyńskie. Stojąc, można przy nich usnąć. Kiedyś utworzył je duch, by mu służyły za naczynie, za zrąb, za pocisk, za żagiew. Lecz miotano niemi tak często, że pozostały tylko łuski. Te same strzały tak się zużyły, że mimo najlepszej chęci żaru żadnego niemi rozniecić już nie zdołamy. Słowa, te twory i zwiastuny ducha, w wielkiej, nawet przeważającej mierze, stały się komunałami.

Wielu już nawet nie wie dokładnie, które słowa pochodzą od wieszczów, które od Nietschego, a które z Biblji. Wskutek nadmiernego czytania i słuchania mózgi ludzkie tak się zamuliły i pościerały, że tylko niewiele rzeczy w nich się zahaczy, że tylko całkiem nowe, silne słowa się w nich wyryją. Wszystko inne muska je tylko zlekka, nie zostawiając po sobie śladu. Owszem, pamięta się z Pisma: „Cóż pomoże człowiekowi“ — „jednego tylko potrzeba“ — i jakieś 10, 12 wierszy, które każdy napamięć umie, kto jako tako regularnie chodzi do kościoła. Wszak owe 10, 12 zdań biblijnych powtarza się tam ze wzruszającą wytrwałością przy każdej sposobności. Te cytaty nie wywołują przecież żadnego innego wrażenia prócz tego, że uważny słuchacz sobie powie: znamy już!

Natomiast opowiedział mi kiedyś pewien ksiądz wiedeński, że jakiś młodzian, którego od dziecięctwa wychowywano zdala

od religji i który zupełnie przypadkowo znalazł się na kazaniu, zbliżył się do niego i zapytał: „Księże Proboszczu, od kogo pochodzi ten prawdziwie cudowny cytat, który ksiądz przytoczył w kazaniu?“ — „Jaki cytat? O ile sobie przypominam, nic szczególnego nie wspomniałem“. — „Ależ tak — nie pamiętam już dokładnie słów, ale było coś o zatraceniu duszy“. — „Owszem. Pan ma na myśli słowa: „Cóż pomoże człowiekowi, jeśliby wszystek świat zyskał, a na duszy swej szkodę poniósł, — to pochodzi od samego Chrystusa“. — „Wolno mi to zapisać sobie? Jest to najpiękniejsze powiedzenie, jakie kiedykolwiek słyszałem“. — „Proszę bardzo! U nas zna to każde dziecko“.— Ów młodzieniec stał się przez ten „cytat“ chrześcijaninem. U nas oczywiście zna to każde dziecko. Niestety! — Trzeba sobie uprzytomnić, że cały ruch i zakon franciszkański wraz z przepiękną, świętą postacią swego założyciela powstanie swoje zawdzięcza słowu biblijnemu, które także „zna każde dziecko“! Słowa biblijne! A któż o tem pamięta, że to są słowa Boże, przeznaczone dla ludzi, szukających prawdy o sobie, o Bogu i o świecie; któż pamięta, że to są przez Boga wzniesione drogowskazy do czystego, szlachetnego, silnego, radosnego człowieczeństwa; że te zlekceważone słowa biblijne w skarbnicy mądrości, przechowywane wśród ludzi, stanowią część najświętszą, najprawdziwszą, najcenniejszą — któż o tem pamięta? Że jedno z nich patrafi być na tyle mocne, że wytworzy człowiekowi życie wewnętrzne najpełniejsze, że uczyni go po wszystkie dni radosnym, dumnym, mocnym; że jedno takie słowo, jak np.: „A włos z głowy waszej nie zginie“ — może na całe życie uszczęśliwić i ubezpieczyć — jak dziecko na kolanach ojca — któż to jeszcze odczuwa? Odczułyż to kiedyś te tysiące, które zawiedzione, zgorzkniałe, wyzbywają się chrześcijaństwa?

Ze wszystkich tych słów tryska siła, moc ewangelji, radość wesołej nowiny. Tymczasem na ambonie stały się one pobożnemi zwrotami, które kaznodzieja głosi przy ustalonych okolicznościach. Wielkie wesele wraz z aniołami, pasterzami, owieczkami i gwiazdą mędrców przypada na Boże Narodzenie: „Jam jest Zmartwychwstanie i Żywot“ na Wielkanoc i na pogrzeby; nawałnica i języki ogniste na zesłanie Ducha Św. Znamy to już, znamy — jednakże wielkie wesele odkupienia, ocalenia, synostwa Bożego nie trąciło serca naszego, nie porwała nas nigdy pewność zmartwychwstania i żywota, nigdy nawet koniuszek ognistego języka nas nie zapalił.

Parowy walec przyzwyczajenia, kędy się przetoczy, gniecie wszystko na miazgę. Pod tym miażdżącym walcem słowa Boże stają się frazesami, objawienie Boskie przysłowiami. Słowa, symbole, znaki święte — szablonem, łuską, z której duch się ulotnił.

Słowo jest bronią ducha, — „mieczem ducha“ nazywa je św. Paweł. Nawet kamienie winno ono kruszyć. Tymczasem miecz nasz w długiej służbie się stępił; już nie tnie; ostrze się poszczerbiło. Już tylko w bardzo powolnym materjale zdoła utorować drogę duchowi. Odskakuje natomiast od twardej masy — a wielu wskutek nędzy stwardniało wbrew własnej woli.

Ma więc wracać do kuźni! Rozpali się w ogniu ducha, wyostrzy się znowu. Co komunałem się stało, zwrotem zdawkowym, pustym dźwiękiem przetopi się na ostrą broń. Słowo jest jednym z najskuteczniejszych, jeśli nie najskuteczniejszym środkiem w walce duchów. Na miłość Boską, przyjaciele, to nie frazes — gdy mowa o tej walce duchów. Tysiące naszych były uśmiercone bronią słowa drugich, a przed tą klęską winniśmy ich zachować; obronić, ustrzec. My zaś walczymy tępą bronią, strzelamy łuskami.

Kto ludzi pragnie pozyskać słowem — a takie zadanie jest nam poruczone przez Chrystusa — ten winien używać słów, które zapalają, wstrząsają, które moc i piękno posłannictwa Chrystusowego jaskrawą łuną w sobie niosą. Nie wolno nam używać słów, które już dawno na słuch nie działają. Cóż zawiera się np. w takiem słowie: D z i e c i ę B o ż e! Na Boga! Toż tkwi w niem cała łaska, krasa, siła i radość ewangelji. Nowina Chrystusowa w dwóch słowach! Tak jest! Wszystko tam jest: wszelka pociecha, wszelki obowiązek, wszelkie prawo do pomocy, wszelkie uszlachetnienie życia. Lecz to słowo nie przemawia już do ludzi, nie budzi żadnych myśli. Przy dobrej woli, owszem, można zeń jakąś myśl wykrzesać. Poza tem stało się już frazesem, komunałem. Ani o Bogu, ani o dzieciach przy tem powiedzeniu się nie myśli. Kto zaś sam o sobie lub drugim mówi i myśli: „syn Boga“, „córka Boga“, odrazu dostrzeże, że mówi i myśli coś, co obowiązuje. We wnętrzu jego drzwi się jakieś otwierają i pada przez nie promień Ducha Chrystusa. Takie powinno być i słowo: niby pięść, otwierająca pchnięciem drzwi zamknięte, aby się wdarło przez nie światło; albo niby młot, uderzający w dzwony naszej duszy, że uroczyste dźwięki napełnią całego człowieka.

Lub weźmy słowa: „Łaska uświęcająca“. Przepiękny to wyraz teologiczny. Potrzeba mu jednak całego komentarza. „Łaska uświęcająca“ — to nie jest słowo, które przebudzi, które trafi w sedno, lecz to nagłówek dla kazania, które poszczególny słuchacz musiałby dopiero sam do siebie wygłosić, by to słowo mogło na nim wywrzeć wrażenie. Lecz powiesz: „Przyjaźń Boga“, „Synostwo Boże“, a każdy bez komentarza zrozumie, że to smutny los utracić te dobra, natomiast radością będzie, zaszczytem i dumą posiadać je.

Jeśli np. usłyszę, gdy kto mówi: „taka już była wola Boża“ — to wiem napewno, że wydarzyło się nieszczęście. — Skoro już innego wyjścia niema, skoro już brak nadziei, skoro już nikt, żaden lekarz, żadne lekarstwo nie pomoże, wtedy trzeba się już pogodzić z wolą Boga.

„Człowiek żyje wszelkiem słowem, które pochodzi z ust Bożych“. Wszystko przecież, co te słowa utraciły na sile, na pewności, popartej przez Boga, na świeżości — utraciły przez to, że stały się „obiegowemi cytatami“, zwrotami zdawkowemi, przysłowiami, komunałami, podobnie jak klasyków wszystkim znane powiedzenia; wszystko, co te słowa święte utraciły na powadze i znaczeniu, zmniejsza ich wartość odżywczą tak dalece, że trudno się dziwić wielu ludziom, jeżeli głodni innego szukają chleba.

Bardziej jeszcze niż ciało należy żywić ducha chlebem treściwym, bo nawet przy materjalnej nędzy i głodnym żołądku najpierw zwykle duch przymiera głodem. Nieunikniona jednak będzie katastrofa, jeśli duch głodny cierpi w dodatku nędzę materjalną. Zarówno duch jak i ciało nie może żyć suchemi skórkami chleba. Słowo Boże usychało nieraz od twardych skórek chlebowych.

Weźmy np. słowo: „Szukajcie naprzód Królestwa Bożego...“ — Nikt już dalej nie słucha, bo myśl sama powtarza: Znam to już, znam! Albo wystarczy powiedzieć: „Cóż pomoże“ — a już nikt nie słucha. Suche skórki, na które nikt się już nie łakomi. Za stare, za często je podawano! Nikt zresztą nie chce wierzyć, że się niemi pożywić można. Chyba na pokaz i oglądanie w niedzielę przed południem — nie zaś na pokarm od poniedziałku do soboty! Nie, nie przyjacielu! Od poniedziałku do soboty mówi ci twarde życie: szukaj najpierw chleba powszedniego, w przeciwnym razie całe Królestwo Boże nic ci nie pomoże. I ta myśl, która jest właściwie odwróceniem

słów Chrystusowych, kieruje w rzeczywistości życiem większej części chrześcijan.

„Szukajcie najpierw Królestwa Bożego“! A jednak te słowa Chrystusowe czy były kiedykolwiek tak jaskrawo, tak namacalnie potwierdzone jak za dni naszych? Panowanie nad ziemią nigdy nie było tak doskonałe, jak dzisiaj. Za nami stulecie największych zwycięstw lotniczych. Zwycięstwo pracy ludzkiej, myśli ludzkiej; lampa naftowa ustąpiła miejsca światłu elektrycznemu; pospieszne pociągi, samochody, samoloty; nowe miasta wyrastają z ziemi; codzień nowe maszyny; ocknął się umysł człowieczy, zawładnął siłami ziemi, które niewolniczo służą jego maszynom. Brawo! Brawo! Gdybyśmy się byli zadowolili szukaniem Królestwa Bożego, dziś jeszcze siedzielibyśmy przy kopciuszku naftowym! — A jakież stąd, pytamy, błogosławieństwo? Miljonowe rzesze proletarjuszy, niebywała nędza mieszkaniowa, nienawiść wśród klas społeczeństwa, zatruwająca życie, zamieniająca każdą fabrykę na teren bojowy; tłumy głodujących; a przecież nigdy tak wydajnie, tak spiesznie, tak wyczerpująco, tak świetnie nie pracowano, jak dzisiaj, gdy jedna maszyna w jednej godzinie więcej wytłacza gwoździ, niż u kowala przybędzie w tygodniu, gdy jeden dźwig w ciągu dnia więcej zrobi, niż 25 ludzi w ciągu dwóch tygodni! Brawo! Brawo! Tempo! Tempo! A miljony bezrobotnych głodują, giną! Zwycięstwo inteligencji ludzkiej? Kiedyś przecież sprzykrzy się tym miljonom, że wszystko potłuką! „Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego! Nawoływanie Boskie, przestroga Boska, która chrześcijanom stała się komunałem, a niedowiarkom pośmiewiskiem! Zajdźmy do państwa nienawiści, niesprawiedliwości, wyzysku, nędzy społecznej. I cóż się tam dzieje? Z tej nędzy, z tej rozpaczy rzesz, z tej niesprawiedliwości o pomstę do nieba wołającej, która głośniej, niż prorok jaki, krzyczy na cały świat, że także „wszystko inne“, wszelka praca, wszelkie władanie ziemią, wszelka inteligencja staną się przekleństwem ludzkości, jeśli Królestwo Boga, Królestwo miłości, sprawiedliwości, braterstwa zatraci, — z tej nędzy, która boskość słów Chrystusowych trafniej udowadnia, niżby mógł Paweł uczynić, — z tej klęski społecznej kują broń przeciw chrześcijaństwu, wytaczają oskarżenie przeciw wierze i Królestwu Bożemu, i to z takiem powodzeniem, że np. w Wiedniu przeszło 100,000 wypisało się z Kościoła. Czyż to nie czyste szaleństwo? Nigdy przecież nie mieliśmy tyle możliwości

co dziś zbierać na każdej ulicy jaskrawe dowody tego, że ludziom nic nie pomoże pozyskać cały świat, jeśli szkodę poniosą na duszy, na moralności, na miłości i braterstwie.

Pogląd na świat nie żyje odziedziczonemi zwyczajami, formami przekazanemi, choćby one nawet były najczcigodniejsze, najpiękniejsze, najtreściwsze w świecie. On żyje ideami, które każdemu pokoleniu od nowa trzeba przepowiadać. Rzeczą nieodzowną będzie każde pokolenie na nowo wychować, przekonywać, zagrzewać. Normalnym środkiem ku temu jest słowo. Niema nic bardziej niebezpiecznego w tej walce, jak potykanie się bronią zużytą, tępą. Szlachetna jest ta rdza, pokrywająca naszą broń, lecz trudno, broń z patyną starości winna się znaleźć w muzeum, lub ma być na nowo wyostrzona, by była biała, cięta.

Niedawno czytałem w ocenie książki religijnej, że autor posługuje się „wyrazami niezwykłemi“! Niech będzie błogosławiony ten mąż, który chrześcijaństwo, wojujące chrześcijaństwo obdarzył niezwykłemi wyrazami, któreby zdolne były zbudzić ze snu śpiących, bo właśnie wielka liczba wyrazów „zwyczajnych“ spowodowała błogi sen. Proces rozwojowy: Duch — słowo — komunał należy odwrócić. Co się stało dla słuchacza stereotypowym, pobożnym zwrotem i przysłowiem kaznodziejskiem, winno znowu zajaśnieć jako promień ducha Bożego, winno stać się uroczystym dźwiękiem nowiny radości. Na ciemnem tle nędzy społecznej, bezwzględnej niesprawiedliwości, zdeptanej godności człowieczej, zapomnianych przykazań miłości i uczynności, ogień słowa Bożego winien zapłonąć olbrzymiemi pochodniami.

Mówiłem o suchych skórkach chlebowych. Stwardniały one bardzo. A jednak sprobujcie je przedziurawić, przyjaciele, przełamcie je! A poczujecie świeży, mocny i jakże zdrowy chleb mądrości Bożej; zapach nęcący! Pod skórką znajdziecie wszystko, co serce i duszę ludzką uzdrowi, umocni i rozraduje; — wszystko to, co inni obiecują, a dać nie mogą.

Ale trzeba się przedostać przez twardą powierzchnię. Co się stało komunałem, przysłowiem i nudą, niech się stanie jasno płonącą pochodnią ducha, którym obdarzył nas Chrystus, w którym spoczywa zbawienie ludzkości [1]).

Pelplin. Do druku przygotował

Ks. Bieszk.

1) Przykłady nauk ks. Fiedlera, jako ilustrację do jego poglądów, podajemy niżej.

O ARTYKULACJI.

Do dwóch zasadniczych funkcyj narządów mowy (oddychanie i rezonancja), opisanych w I i II zeszycie tegorocznego „Przeglądu Homiletycznego“, dochodzi jeszcze 3. pierwiastek, t. zw. artykulacja. Polega ona na tem, że pewne części organu mowy, przedewszystkiem wargi, język i szczęka dolna, wykonywują podczas mówienia czy śpiewania najróżnorodniejsze ruchy, przez co wytwarza się niezliczoną ilość głosek. Np. *p* wykonuje się innemi ruchami niż *t*, innemi *cz*, *k* i t. d. Jak oddychanie i rezonancja to także artykulacja nie jest czynnością automatyczną. Uskutecznia się ją również trojakim sposobem:

1. Są tacy, którzy wykonaniu ruchów artykulacyjnych poświęcają bardzo mało uwagi. Nie wysilają się coprawda, lecz mówią niewyraźnie, tak, że słuchacze rozumieją ich źle albo wcale nie. Określić można ten sposób artykułowania:

wynik : — minus,
wysiłek: — minus [1]).

2. Inni starają się wymawiać wszystko jak najdokładniej, tak, że słuchacze nawet na ostatniej ławce rozumieją ich doskonale, lecz mówcy ci wysilają się i męczą. Skąd to pochodzi? Otóż wspomniane już narządy artykulacyjne są przez mięśnie (więzy) połączone z mięśniami (więzami) krtani. Mówca, pragnąc wymawiać jak najwyraźniej np. *p, b* często ściska wargi swoje świadomie albo nieświadomie tak silnie, że to ciśnienie udziela się krtani. Nie wychodzi to naturalnie na korzyść tejże i znajdujących się w niej delikatnych wiązadeł głosowych. Takie samo szkodliwe ciśnienie może spowodować język np. przy wymawianiu *t*, *d*. Bardzo wielką szkodę wyrządza też nieumiejętne używanie szczęki. Cechy tej artykulacji:

wynik : + plus,
wysiłek: + plus.

3. Inni wreszcie artykułują bardzo dobrze, nie męcząc się, bo narządy ich artykulacyjne są sprawne, elastyczne, przez osobny trening wygimnastykowane, tak, że wykonywują wszystkie ruchy z największą wyrazistością oraz z największą łatwością. U nich:

wynik : + plus,
wysiłek: — minus.

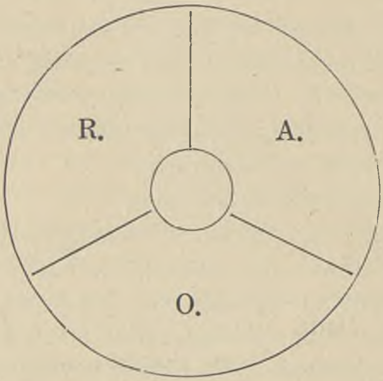
---

[1]) W artykule o rezonancji (cfr. zesz. 2, str. 128, wiersz 7 z dołu) zakradła się omyłka; również tam powinno być: „wysiłek minus“.

Nie ulega wątpliwości, do której ze wspomnianych 3 grup powinien należeć mówca zawodowy. Kierować się musi także pod względem artykulacji zasadą osiągnięcia najlepszych wyników przy najmniejszych wysiłkach, do czego uzdolni go higjena mowy (cfr. „Przegl. Hom.“ 1929, zesz. 3, str. 206-207).

STRESZCZENIE.

(cfr. również „Przegl. Hom.“ 1930, zesz. I, str. 48-50, zesz. II str. 128-29).



Koło niniejszego rysunku przedstawia „pole fonetyczne“, które dzieli się na 3 wycinki, wyobrażające funkcję:

oddychania : O,
rezonancji : R,
artykulacji : A.

Wynik powinien być : + plus,
Wysiłek powinien być : — minus,

to znaczy: trzeba umieć

1. oddychać prawidłowo przy najmniejszym wysiłku,
2. mówić dźwięcznie, głośno przy najmn. wysiłku,
3. mówić wyraźnie przy najmniejszym wysiłku.

Jeżeli te 3 funkcje O + R + A zostaną sharmonizowane z sobą, to rezultatem będzie głos pod względem higjenicznym doskonale wytwarzany, co na rycinie oznaczono przez wewnętrzne kółeczko.

Katowice. *Ks. dr. St. Wilczewski.*

MATERJAŁY I SZKICE.

PRAWO DWÓCH TABLIC [1]).

(Ciąg dalszy).

Czwarte: Czcij ojca i matkę swoją.

I. Namiestnicy Pana Boga.

Uwaga. Wobec bezprzykładnego w dziejach zaniku za dni naszych poczucia czci dla jakiejkolwiek władzy nie od rzeczy będzie w najogólniejszych zarysach przedstawić wiernym podstawowe prawdy, na których opiera się nauka o władzy, w sposób mniej więcej następujący.

1. Pan Bóg jest wszechmocny, to znaczy, że może uczynić wszystko, i uczynić tak, jak chce. Mógł więc cały świat odrazu uczynić takim, jakim go chciał mieć, bo wystarczyło jedno „niech się stanie!“ Ale Pan Bóg chciał postąpić inaczej. Zamiast stworzyć w jednem okamgnieniu całe niebo i całą ziemię, tak jak ona później się stała, uczynił to — jak mówi Pismo św. — w sześciu dniach. Poprostu zaprzągł do roboty tak zwane prawa przyrody, i kazał im według swoich planów pracować, aby się wyrabiały takie stosunki, jakich Pan Bóg chce.

A kiedy na końcu stworzył człowieka, to także na niego włożył pewne zadania, żeby człowiek, mając rozum i wolną wolę, współpracował z Panem Bogiem, „napełniał ziemię i czynił ją sobie poddaną“. I znowu, kiedy człowiekowi dał Pan Bóg objawienie, uczynił to tylko raz, a potem człowiekowi przykazał, aby tego objawienia strzegł i przenikał je coraz bardziej i starał się je zrozumieć coraz lepiej. Kościołowi swojemu Pan Bóg użycza swej pomocy, ale w sposób niewidzialny przez Ducha Świętego, piastunami zaś władzy i szafarzami łaski uczynił ludzi, a nawet głową widzialną tego Kościoła ustanowił człowieka, którym jest każdorazowy Ojciec święty.

Podobnie w innych sprawach Pan Bóg ludziom powierzył różne „urzędy“, zadania, które potrafią spełniać, aby byli wykonawcami jego woli i uczestnikami jego władzy. Na tem zasadza się stosunek rodziców do dzieci, przełożonych do podwładnych, obywateli do władzy państwowej.

Pan Bóg dopuszcza rodziców do udziału w swej mocy twórczej. Pan Bóg mógłby każdego człowieka stwarzać sam,

[1]) Przy wypracowywaniu tych szkiców, posługiwałem się obficie pracą ks. d-ra Franciszka Michała Willam'a p. t. „Nasza droga“ (praca ta jeszcze nie jest przetłumaczona na język polski) za wiedzą i zgodą Autora i nakładcy.

dając mu i ciało i duszę, i nie potrzebowałby wcale posługiwać się do tego człowiekiem. Ale Pan Bóg dopuszcza ludzi do tej czynności, a tylko dusza każdego człowieka zosobna wychodzi wprost z rąk Pana Boga. Nie dość na tem. Rodzice bowiem nietylko w tym względzie są wykonawcami woli Bożej, lecz nadto Pan Bóg przeznaczył ich jeszcze do tego, żeby dzieci wychowywali i mieli staranie o ich dobro doczesne i wieczne.

Tak samo rzecz się ma z władzą świecką, to jest z tymi ludźmi, którzy są naszymi przełożonymi w sprawach doczesnych. Pan Bóg bowiem nie sprawuje sam rządów nad ludźmi, bo jest to coś, co ludzie sami potrafią uczynić, a gdzie w świecie cośkolwiek potrafi zdziałać stworzenie (przy pomocy Bożej), tam Pan Bóg zazwyczaj nie wdaje się. Tak się też sprawa ma z rządami nad światem. Pan Bóg dał ludziom rozum, i chce, żeby się jednoczyli w społeczeństwa [1]), i żeby ustanowili, iżby jedni rozkazywali, a drudzy słuchali.

Że tak naprawdę jest, czyli że Pan Bóg chce, aby jedni w jego imieniu rozkazywali, a drudzy słuchali, obojętne czy chodzi o rodzinę, czy o gminę, czy kraj, czy państwo, widać stąd, że Pan Bóg dał czwarte przykazanie. Obejmuje ono to, co dotyczy rodziców wobec dzieci i naodwrót, oraz przełożonych wobec podwładnych i naodwrót, żeby ci i tamci postępowali tak, jak tego żąda od nich wola Boża [2]).

2. R o d z i c ó w sam Pan Bóg dopuścił do uczestnictwa w tej mocy, którą On stwarza. Z tego wynika przedewszystkiem to, że rodzice będą musieli zdać rachunek przed Bogiem z tego, czy i jak korzystali z tego przywileju i honoru. Wynika też stąd następnie i to, że rodzice otrzymali od Boga prawo rozkazywania dzieciom według woli Bożej i w jego zastępstwie. Jest to więc prawo, które rodzice mają z pierwszej ręki, to jest od Pana Boga, a nie od państwa, nie od rządu, nie od parlamentu, nie od posłów.

Gdzie są prawa, tam też zawsze są obowiązki. Rodzice tedy, skoro mają prawo być dzieciom zastępcami Pana Boga, mają ten obowiązek, żeby być żywemi i głośnemi przykazaniami boskiemi. Co to znaczy?

---

1) W razie potrzeby, wobec słuchaczów prostych, tego rodzaju wyrażenia — określenia należy zastąpić jeszcze przystępniejszemi i „rozłożyć“ je *ad captum audientium.*

2) Materjał tego szkicu snadnie można rozprowadzić tak, żeby się zeń stało osobne kazanie.

Znaczy to przedewszystkiem, że rodzice powinni pod ciężką odpowiedzialnością i pod ciężkim grzechem synów swoich i córki swoje pouczać o tem, czego Pan Bóg od nas ludzi chce. Innemi słowy: rodzice mają obowiązek prowadzić dzieci do Pana Boga. Od tego obowiązku nikt im nie może dać dyspensy, więc też nie wolno im pod ciężkim grzechem pozwolić na to, żeby ich dzieci były wychowane bez Boga, bez religji, bez kapłana, bez szkoły wyznaniowej. Nie wolno rodzicom pod ciężkim grzechem narażać dzieci na to, żeby się oddalały od Boga, a chodziły drogami, które wiodą do djabła, do piekła. Nie wolno tedy rodzicom katolickim zgodzić się na to, żeby im dzieci zabierano do takiej szkoły, w której niema nauki religji i praktyk religijnych. Rodzice chrześcijańscy winni wiedzieć, że państwo w sprawach religijnego wychowania dzieci nie ma żadnego prawa przeciwko rodzicom. Państwo jest obowiązane urządzić sprawy w ten sposób, żeby się dzieci miały gdzie kształcić, ale państwo nie ma prawa w rzeczach religijnego wychowania wywierać jakikolwiek przymus, któryby się sprzeciwiał sumieniu rodziców, a sumienie rodziców chrześcijańskich domaga się szkoły religijnej.

Skoro rodzice zastępują dzieciom Pana Boga, przeto wskazówki, których udzielają dzieciom, winni odbierać od Pana Boga i rozmawiać z Panem Bogiem o dzieciach, czyli modlić się za dzieci (św. Franciszek Salezy). Wówczas przejmą się świadomością, że w chwili upomnień i rozkazów stają wobec dzieci jako namiestnicy Pana Boga, a ta świadomość udzieli się także dzieciom, i doda rodzicom powagi, otoczy ich majestatem, tak jak Mojżesza, gdy po rozmowie z Panem Bogiem na górze Synaju miał blask dokoła głowy, tak, że Izraelici ze czcią spoglądali na niego.

Namiestnik musi się trzymać ściśle woli swego władcy. Rodzice przeto nie mogą bez obawy zarzutu, że się sprzeniewierzyli swoim obowiązkom, robić dzieciom ustępstw co do przykazań Boskich, choćby się to dzieciom nie podobało. Rodzice, którzyby w tej sprawie okazali się ustępliwymi w sposób niedozwolony, mieliby ciężką sprawę z Panem Bogiem przy obrachunku. Pan Bóg mógłby się ich zapytać słowami Pisma św.: *„Czemu syny twoje uczciłeś więcej aniżeli mnie?“* (1 Król. 2, 29) i spotkałby ich wyrok Pana Jezusa: *„Kto miłuje syna albo córkę nademnie, nie jest mnie godzien“* (Mt. 10, 37).

To też Pismo św. ustawicznie nawołuje do dobrego wychowywania dzieci. Mówi też Pan Bóg, że rózgi stworzył nietylko poto, aby z nich były koszyki i płoty, lecz także poto, żeby służyły za narzędzie do wychowania w razie potrzeby. „*Kto folguje rózdze, nienawidzi syna swego, lecz kto go miłuje, ustawicznie ćwiczy*“ (Przyp. 13, 24). „*Głupstwo przywiązane jest do serca dziecięcego, ale rózga karania wypędzi je*“ (Przyp. 22, 15).

Nie znaczy to oczywiście, jakoby należało wychowywać jedynie przy pomocy rózgi. Warto jednak przypomnieć, że dawniej był taki zwyczaj, iż dziecko, gdy dostało karę, ucałowało rózgę i musiało powiedzieć „Bóg zapłać“. Zwyczaj ten był nauką nietylko dzieciom, że karę powinny przyjmować jako dowód miłości, lecz także rodzicom, żeby nie karali dzieci ze złości i w gniewie, lecz z dobroci, według upomnienia św. Pawła: „*Ojcowie, nie pobudzajcie do gniewu dzieci waszych, aby nie traciły ducha*“ (Kol. 3, 21). Co się tyczy kar cielesnych w wychowaniu, to bardzo dobrze tę rzecz wyraża stare przysłowie: „Kto codziennie dzieci bije, ten jest głupi, a kto nigdy nie bije, jest także głupi“.

Na nic się jednak rodzicom i dzieciom nie przyda wszelka praca wychowawcza, jeżeli dzieci nie będą miały dobrego przykładu od rodziców. Dobry przykład ojca, matki dla dzieci będzie czemś w rodzaju żelaznej przegrody; w chwili namiętności dziecko może spróbuje obejść tę przegrodę, ale jej nie potrafi przełamać. Zawsze przykład ojca, matki będzie stał przed oczyma dziecka i będzie mówił do niego: „Anim cię tak nie uczył, anim też tak nie postępował jak ty. Czy mi i w grobie nie dasz spokoju, skoroś mię za życia nie chciał słuchać?“

Rodzice mają też obowiązek starać się o to, żeby dzieciom było dobrze, o ile to jest w ich mocy. Przedewszystkiem tedy winni im dać jakieś wykształcenie, oraz pomagać nauczycielom w ich trudnem zadaniu. Kto dziecku dał jakiś zawód do ręki, ten mu dał pierwszy majątek. Bogactwo bowiem jeszcze nie znaczy wiele, bo kto się bogato urodził, może w biedzie umrzeć.

Wprawdzie dzisiaj nieraz rodzice mimo najlepszej woli nie potrafią dzieciom nic zostawić. Temu już nie są winni rodzice, lecz dzisiejsze stosunki, które sprawiły, że wskutek ogólnej bezbożności ludziom brakuje nieraz tego, co im potrzebne do życia.

II. Obowiązki dzieci.

Wiadomo, że dzisiaj zanika cześć i szacunek dla Boga i spraw Boskich. Nic przeto dziwnego, że zanika też szacunek i poszanowanie dla tych, którzy na ziemi piastują urząd Boski, czyli dla rodziców, kapłanów i przełożonych. Kto sobie z Boga nic nie robi, ten sobie też nic nie robi z tych, którzy przychodzą do niego jako ci, co są zastępcami jego.

Pierwszymi dla dzieci są rodzice. Bóg ustanowił ich przełożonymi — stąd winniśmy im cześć. Bóg tak urządził, że rodzicom zawdzięczamy życie ciała, stąd winniśmy ich miłować. Z jednego i z drugiego tytułu wynika obowiązek posłuszeństwa rodzicom.

Więc a) cześć i szacunek jako dla tych, którzy nam zastępują Pana Boga. Szanować rodziców trzeba zawsze, bez względu na to, czy ich przymioty są dobre lub mniej dobre. Choćby nawet mieli wady, to i tak nie przestają być dzieciom zastępcami Pana Boga. — Przeciwko czci, należnej rodzicom, grzeszą dzieci wtedy, gdy źle o nich myślą. Nie trzeba się zastanawiać nad ułomnościami rodziców. Nigdy nie wolno się źle wyrażać o rodzicach, nigdy nie wolno się ich wstydzić. Specyfikować obrazkami z życia. „*Oko, które urąga ojcu, które gardzi matką, niech wykłują kruki i wyjedzą orlęta*“ (Przyp. 30, 17). Noe i synowie; następstwa tego braku czci u potomstwa według Pisma św.

b) Miłość jako dla największych dobrodziejów. Pan Bóg małemu dziecku wszczepił tę miłość, i ono z własnego popędu darzy nią rodziców. Dopiero kiedy miłość własna zaczyna brać górę, miłość ku rodzicom zaczyna słabnąć. „Łatwiej jednemu ojcu utrzymać dziesięcioro dzieci, aniżeli dziesięciorgu dzieciom jednego ojca“. Specyfikować przykładami z życia, jak się objawia miłość ku rodzicom! — I jak się przeciwko niej grzeszy: serjo źle życzyć, zasmucać, do gniewu pobudzać, nie pomagać, nie znosić cierpliwie, nie modlić się. Zwrócić szczególnie uwagę na ohydę złego obchodzenia się z wiekowymi rodzicami.

c) Posłuszeństwo jako od Boga postanowionym przełożonym i dobrodziejom. Zresztą Pan Bóg na posłuszeństwie dzieci rodzicom zasadził cały porządek wśród ludzi, w państwie i Kościele. Kto bowiem za młodu nie jest posłuszny, ten i w wieku dorosłym nie będzie nim, a w końcu nie będzie umiał rozkazywać drugim. Stąd Pan Jezus przez 30 lat był posłuszny, żeby nie było wymówki.

Dlaczego Pan Bóg tak nalega na to przykazanie? Dlatego, ponieważ doświadczenie uczy, że tylko ci ludzie umieją być posłusznymi władzy duchownej i świeckiej, którzy byli posłuszni rodzicom. A bez posłuszeństwa przełożonym niema przecież mowy o porządku i spokoju na świecie, czyli niema szczęścia. Więc Pan Bóg, pragnąc tego szczęścia ludziom, musi obstawać przy czwartem przykazaniu, i dlatego Synowi swojemu jednorodzonemu kazał dać nam aż taki przykład posłuszeństwa. Nie dość na tem! Pan Bóg do tego przykazania dodał osobną obietnicę nagrody już tu na świecie, mówiąc: „Żebyś długo żył, i dobrze ci się powodziło na ziemi!“ Specyfikować obrazkami z życia: powojenny brak subordynacji, powszechna krnąbrność. Ale czwarte przykazanie nie zostało zniesione.

III. Państwo.

Uwaga. — Może niejednemu będzie się wydawało, że materjał ten jest zanadto „świecki“, jak na ambonę. Ktoby tego skrupułu nie mógł zwyciężyć, ten niech z tych materjałów korzysta gdzieindziej. Mnie natomiast — *salvo judicio meliore* — wydaje się, że wierni zasługują na to, by ich o tych sprawach — *servatis servandis* pouczono także z ambony.

Na początku rodzice byli nietylko pierwszymi rozkazodawcami, lecz byli dla członków rodziny także tem, czem teraz jest władza w państwie i w Kościele.

Później miejsce rodziców poza rodziną zajęli naczelnicy rodów, to jest kilka rodzin, lub kilkanaście albo kilkadziesiąt, a nawet kilkaset, które stanowiły ród, czyli pokolenie, było pod rozkazami jednego naczelnika. Byli to ludzie, którzy zajmowali stanowisko pośrednie między rodzicami z jednej strony, a głowami państw i przełożonymi religijnymi z drugiej strony. Zazwyczaj byli oni też najwyższymi kapłanami i prawodawcami całego pokolenia. Takich naczelników dzisiaj jeszcze mają niektóre ludy, które my nazywamy dzikimi, choć niesłusznie; takimi naczelnikami byli też patrjarchowie Abraham, Izaak i Jakób.

Zczasem pokolenia stały się tak liczne i wielkie, że jeden naczelnik już nie mógł poradzić wszystkim. Dlatego sprawy religijne powierzono komu innemu, a świeckie znowu komu innemu, a nawet sprawy świeckie trzeba było rozdzielić, zwłaszcza odkąd z pokoleń powstały państwa. Kiedy, albo raczej jakim sposobem powstały państwa? Stało się to w ten sposób, że kilka, kilkanaście albo kilkadziesiąt pokoleń bądź dobrowol-

nie, bądź z konieczności połączyły się ze sobą. Tak n. p. gdzie dzisiaj jest Polska, dawniej było więcej pokoleń, czyli szczepów, a każdy szczep miał swojego własnego naczelnika; ci naczelnicy zaś między sobą, albo i jeden szczep z drugim, toczyli nieraz zacięte walki. W takich razach albo jeden drugiego zwyciężył i zmusił do poddaństwa pod jednym naczelnikiem, albo też się dobrowolnie poddali wspólnemu księciu, panującemu, królowi; powstało wtedy państwo z kilku pokoleń, rodów, szczepów, te zaś powstawały zawsze z jakiejś jednej rodziny. Skoro tedy w rodzinie obowiązywało czwarte przykazanie, przeto także w pokoleniu i w państwie musiało obowiązywać, przynajmniej o tyle, o ile chodzi w niem o posłuszeństwo jednych względem drugich. A ponieważ ojciec w rodzinie ostatecznie był namiestnikiem Boga, przeto także naczelnik pokolenia, szczepu, rodu, był namiestnikiem Pana Boga wobec tych, nad którymi był postawiony.

Dlatego też i dzisiaj jeszcze władza w państwie jest z woli Bożej, a nietylko ze zgody ludzi. Stąd władza jest rzeczywiście z łaski Bożej. Nie należy oczywiście mówić, że Pan Bóg sam ustanawia każdego króla i każdego prezydenta. Pan Bóg nawet papieża sam nie ustanawia, lecz każe go wybierać przez kardynałów, choć na papieżu zależy mu bardziej, aniżeli na prezydencie lub królu jakim. Ale urząd czyli władzę papież wybrany dostaje od Pana Boga, a także władza, którą otrzymuje wybrany prezydent albo dziedziczny król, jest mu od Boga dana. Pan Bóg nie chce wprost, żeby ten czy tamten został prezydentem, lecz tę sprawę zostawia ludziom, żeby na prezydenta wybrali godnego człowieka; ale Pan Bóg chce wyraźnie, żeby ludzie słuchali raz naznaczonej głowy duchownej lub świeckiej.

Dlatego trzeba pamiętać, że państwo nie jest dziełem samowoli ludzkiej, lecz jest ono koniecznem następstwem natury ludzkiej. Natura ludzka zaś pochodzi od Boga; od Boga też są wyznaczone cele, do których natura zdąża; tak jak kwiat zdąża koniecznie do tego, żeby kwitnął i owocował, także i natura ludzka zdąża do tego, żeby człowiek tworzył państwo, żeby się ludzie łączyli w państwa, ale bez władzy być nie mogą. To wszystko Pan Bóg tak urządził, więc też i władza państwowa jest ustanowiona od Boga i jest według woli Bożej.

Są to sprawy ważne, ale szczególnie dzisiaj nabierają znaczenia, bo zewsząd słyszy się pytanie: „Skąd państwo ma wła-

dzę nad ludźmi? Czy naczelnik państwa sam sobie ją bierze, czy też lud mu ją daje, czy wreszcie otrzymuje on ją od Boga?“

Otóż prawda jest taka: także dzisiaj władza państwowa istnieje z woli Bożej, a nietylko z przyzwolenia ludzi.

Pismo św. pod tym względem nie zostawia najmniejszej wątpliwości. Przytoczyć i rozwinąć Jan 19, 10, 11. Rzym. 13, 1 nast.

Z tej prawdy dla obywatela wynika obowiązek posłuszeństwa, dla zwierzchności zaś obowiązek wykonywania władzy zgodnie z wolą Bożą i w granicach woli Bożej.

Są to rzeczy tak ważne, że wszelka pomyłka pod tym względem musi się straszliwie pomścić na wszystkich, na całem społeczeństwie ludzkiem, bo tu nie chodzi o sprawę tego lub owego pojedyńczego człowieka, lecz o samo współżycie ludzi między sobą.

Ale to też czy potrzeba sobie dopiero długo suszyć głowę nad tem, coby się stało, gdyby wielka część poddanych i rządzących powiedziała jednego dnia, że nie uważają, aby obowiązek posłuszeństwa władzy pochodził od Boga, ani też aby Bóg był źródłem władzy w państwie? Nie, nad tem nie trzeba się dopiero zastanawiać. Wystarczy rozejrzeć się dokoła, albo powiedzmy: uprzytomnić sobie, jakie to panują na świecie pod tym względem stosunki. Są to wszystko skutki tego, że i rządzący i narody poprostu pobłądziły na tym punkcie. Trzeba jednak pamiętać, że pobłądzili zarówno rządzący jako też narody, i to nietylko w jednem państwie, lecz mniej więcej we wszystkich. To też — rządzący i narody muszą pokutować za ten błąd. Bo rządzący i rządzeni są to dwie rzeczy, które do siebie należą nierozłącznie. Można tutaj powiedzieć, że każdy naród ma takich rządców, na jakich zasługuje, a każdy rządzący ma taki naród, jaki mu odpowiada, bo oni wszyscy są dziećmi swego czasu i łatwo zarażają się błędami, na które ten czas choruje.

Poczucie, że jest wolą Bożą, aby istniała zwierzchność, i że wszelka władza pochodzi od Boga, już przed wojną zatarło się w szerokich masach ludności, a nawet często rozmyślnie wypędzano je ze serc ludzkich i z głów. Wielu rządzących przed wojną nie chciało widzieć, jak wielkie w takiej robocie tkwi dla nich niebezpieczeństwo; więc pochlebiało to ich dumie, że mieli być rządzącymi nietylko z łaski Bożej. Ten tytuł niepodobał się takim ludziom, dla których Pan Bóg uchodził co najwyżej za sprzęt z dawnych czasów; oni chcieli uchodzić za władców, nad którymi niema nikogo wyższego. Ale z chwilą

jak ich trony straciły związek z górą, ustał też ich związek z dołem. Skoro podobało się rządzącym nie uznawać nikogo wyższego nad sobą, spodobało się też narodom we władcy nie upatrywać sługi Bożego, lecz tylko dygnitarza, którego naród otaczał blaskiem, i blask ten może mu też odebrać.

Co z tego wszystkiego wynikło? To, że się ciągle miało na ustach lud, a może jeszcze nigdy ludy nie zostały tak dalece wyzyskane dla celów jednostek, które swoją wolę podawały za wolę ludu i odnosiły stąd korzyści dla siebie. Często też miejsce rządzących podejmowali tacy ludzie, którzy nie mieli ani części tego poczucia odpowiedzialności, które posiadał niejeden nie najlepszy nawet rządzący. I spełniła się stara groźba Pana Boga u proroka: „*I dano dzieci za książęta ich, a niewieściuchowie panować im będą*“ (Iz. 3, 4). Co z tego wynika, to już o dawnym Egipcie opisano następującemi słowy: „Pan namieszał w pośrodku Egiptu ducha wichrowatego, i zawiedli w błąd Egipt w każdej sprawie jego, jako błądzi pijany i zawracający“ (Iz. 19, 14).

Ciekawym dowodem zmiany w usposobieniach ludzkich jest też i to, że dawniej mówiło się prawie zawsze o ojczyźnie, a teraz mówi się o rządzie, ale mówi się tak, jak o jakim wrogu. A, bo trzeba ponosić ofiary dla państwa, a nie widzi się powodu, skoro zwierzchność, która się ich domaga, już nie uchodzi za coś, co pochodzi od Boga. Zmiana pod tym względem może nastąpić dopiero wtedy, gdy się ludzie znowu zaczną serjo liczyć z czwartem przykazaniem na całej linji.

IV. Władza Kościoła.

Władza państwowa nie jest najwyższą władzą, bo podlega władzy Pana Boga, który jej rządzącym udziela. Wynika to całkiem jasno ze słów Chrystusa Pana.

Tę starą prawdę nauki chrześcijańskiej jednak świadomie i celowo podkopywano od pewnego czasu, i stąd powstały te kłopoty i trudności, z któremi walczą mniej więcej wszystkie państwa, i będą walczyć dopóty, dopóki nie nawrócą do dawnych prawd, którym zawdzięczają swoje pochodzenie i byt.

Skoro się raz zapragnęło państwa, które wszystkie prawa miało rodzić niejako samo ze siebie, to oczywiście nie można było cierpieć Kościoła, który zawsze występuje jako wykonawca woli Bożej. Albowiem gdy Kościół naucza, że jego władza jest

od Boga, to blask państwa, które chciało uchodzić za coś, co nie ma nad sobą nikogo wyższego, doznawał przyćmienia.

Wymyślono tedy naukę, że Kościół ma tylko o tyle rację bytu, o ile jest sługą państwa, jak n. p. najlepsza policja.

Otóż trzeba przypomnieć, że Kościół ma swój własny zakres działania, a państwo także swój. Kościół w tym swoim zakresie zastępuje Pana Boga, a państwo tak samo w swoim zakresie. Kościół obok państwa, a państwo obok Kościoła ma swoją władzę od Pana Boga, i ani państwo nie powinno się mieszać do spraw Kościoła, ani też Kościół nie miesza się do spraw, które należą do państwa. Leon XIII tak wyraził tę prawdę: „Zarówno kościelna jak państwowa władza są opasane jakby kołem, i każda z nich w tem swojem kole może działać swobodnie“.

Nie wolno atoli zapominać, że ci sami ludzie, którzy są obywatelami państwa, są też członkami Kościoła. Postęp cywilizacji sprawił, że stosunki między ludźmi stały się coraz bardziej zawikłane i różnorodne. Powstały co raz to nowe urządzenia, z których korzystają w jednaki sposób wszyscy obywatele, a ci są równocześnie także członkami Kościoła. Ponieważ te urządzenia utrzymuje przeważnie wprost państwo, względnie chce je utrzymywać i kierować niemi, przeto interesy obywateli i dzieci Kościoła zaczynają coraz bardziej zazębiać jedne o drugie, i wchodzić jedne w drugie. Wyłoniło się tedy całe mnóstwo spraw, które obchodzą zarówno Kościół jak i państwo, albo raczej powinny obchodzić.

Ale nowoczesne państwa i nowocześnie rządzący, zarówno ci, których się wybiera, jako też ci, którzy władzę otrzymują w spadku po swoich przodkach, nie chcieli być zależni od Boga. Zaczęło się im zdawać, że urosną w potęgę, jeżeli zerwią stosunki z niebem. Z chwilą jak się im przestały podobać stosunki z niebem, nie spodobało się im też to, żeby się Kościół miał wdawać w te i owe sprawy. Według nich pierwszym, naczelnym i jedynym bogiem ma być państwo, nad którem niemasz żadnej innej wyższej władzy, dla którego nie istnieją żadne prawa, prócz tych, które sobie państwo samo nadało.

Wobec tego należy się trzymać następującej miary.

Skoro jest Bóg, który wszystko stworzył i stworzeniom rozumnym dał przykazania, to przykazania te obowiązują wszystkich ludzi, bez względu na to, czy to są jednostki, czy też bierze się ich wszystkich razem jako całość. Innemi słowy

przykazania Boskie trzeba zachować nietylko w prywatnem życiu, lecz także w publicznem. Bo nietylko życie jednostek stworzył Pan Bóg, lecz także życie społeczeństwa, czyli państwa, bo państwo jest koniecznością dla natury ludzkiej, a naturę ludzką stworzył Pan Bóg. Powiedzmy to jeszcze inaczej, czyli pokrótce tak: państwo musi być religijne, przez wzgląd na Pana Boga, który jest jego twórcą.

Ale także przez wzgląd na siebie samo państwo winno się troszczyć o religję. Państwo bowiem ma obowiązek dbać o dobro obywateli. Tymczasem to się nie da osiągnąć samemi tylko środkami zewnętrznemi, policyjnemi, jeżeli ludzie w sumieniu nie będą się poczuwać do obowiązku wobec przykazań Boskich, a sumienia bez religji niepodobna sobie pomyśleć.

Również dla wzajemnych stosunków jednych państw z drugiemi potrzebne są pewne prawa, któreby wszyscy uznawali i przestrzegali ich z obowiązku sumienia. Tymczasem żadna Liga narodów nie potrafi nałożyć obowiązku sumienia. Gdyby ludzie znowu zechcieli powiedzieć sobie, że trzeba chować przykazania, toby się obeszło bez kosztownej Ligi narodów. W przeciwnym razie ta Liga nie będzie niczem innem, tylko nową formą ucisku i niesprawiedliwości. To też co najwięksi politycy i mężowie stanu religję uważali za największego i pierwszego sprzymierzeńca (Washington, Napoleon).

Obecnie prawie wszędzie jest tak, że ci którzy rządzą, nie posiadają całej władzy, lecz część tej władzy spoczywa w ręku sejmu czy rządu. Dlatego obywatel rzeczypospolitej, czyli konstytucyjnej republiki, winien nietylko słuchać zwierzchności, lecz także korzystać ze swoich praw, w szczególności z prawa wyborczego, a korzystać w ten sposób, żeby piastunami władzy w państwie nie zostali tacy ludzie, dla których przykazania Boskie są niczem. Kto na takich ludzi głosuje, ten także ponosi winę za to, jeżeli w państwie zapanują dzikie stosunki.

„Nasz ks. proboszcz“.

Władzę kościelną wobec wsi przedstawia ksiądz proboszcz. Jest on tedy dla tej wsi zwierzchnikiem duchownym.

Kiedy nowy proboszcz obejmuje rządy w parafji, wręczają mu uroczyście klucze od kościoła na znak, że nad powierzoną sobie owczarnią czyli parafją, wykonywać ma władzę w sprawach wiary i obyczajności chrześcijańskiej. Proboszcz urząd swój obejmuje z polecenia biskupa, ostatecznie jednak wyko-

nuje go w imię Pana Boga, i jest dla mieszkańców parafji zastępcą Pana Boga. Są chwile, kiedy to ludzie dobrze czują, a mianowicie w chwili obejmowania rządów w parafji przez nowego proboszcza, czyli kiedy nowy proboszcz po raz pierwszy wchodzi do kościoła parafjalnego jako proboszcz, i w chwili, kiedy po raz ostatni znajduje się w kościele, czyli kiedy trumna z jego ciałem stoi niemal na tem samem miejscu, z którego on za życia głosił słowo Boże i kierował parafją.

Między temi dwoma dniami leży jednak długi łańcuch dni powszednich i świątecznych, a w te dni na proboszcza nie patrzą ludzie tak samo oczami wiary.

Jakiż tedy powinien zachodzić stosunek między proboszczem a katolikami? Proboszcz jest zastępcą Pana Boga w parafji codziennie przy ołtarzu. I gdyby nic innego nie robił jak tylko odprawiał tę Mszę św. codziennie, już byłby wielkiem dobrodziejstwem dla całej parafji.

Proboszcz jest zastępcą Pana Boga przez odmawianie brewjarza. Dzień w dzień co najmniej przez godzinę zanosi on w tym brewjarzu modły do Boga w imieniu Kościoła za wiernych, a zwłaszcza za powierzonych swej pieczy i jest to bądź co bądź ofiara, która mu towarzyszy zawsze i wszędzie, aż do grobowej deski.

Zastępcą jest proboszcz Pana Boga na ambonie. I musi czasem „podnieść głos“, bo ludzie są słabi i zapadają na różne choroby duszy i upadają, więc trzeba ich podnosić, żeby nie zgnuśnieli. Jest to jego obowiązkiem, bo tak mówi Pan przez Ezechjela proroka (13, 18 nn).

Pana Boga też zastępuje proboszcz, gdy szafuje sakramenta... To jest urzędowa strona proboszcza. Jest on jednak także człowiekiem jak każdy inny, i dlatego ma też swoje ludzkie słabości. Skutkiem tego, im mniejsza jest parafja, tem większe zachodzi niebezpieczeństwo, że ludzie widzą w nim nie tyle zastępcę Pana Boga, ile człowieka, którym się trzeba bardziej interesować aniżeli wszystkimi innymi mieszkańcami parafji. Wówczas szacunek, który się mu należy z wiary, łatwo miesza się z pewną ciekawością i pilnowaniem jego postępków, co już nie stanowi dowodu doskonałości chrześcijańskiej. Proboszcz staje się światłem, które jest ustawione na górze, i które wszyscy muszą widzieć. A jeżeli czego nie widzą sami, to sobie każą opowiedzieć drugim. Gdyby każdy parafjanin był przedmiotem takiego ustawicznego śledztwa, co proboszcz, toby

się dziwne pokazały rzeczy. Ale proboszcz to wszystko znosi, choć to wcale nie świadczy o zaufaniu parafjan do niego, że koniecznie muszą wiedzieć, co też jeszcze powiedział do tego czy owego, za ile co sprzedał, komu co w testamencie zapisał.

Niedobrze też jest, gdy się niektórzy parafjanie starają o wyłączne względy proboszcza, i zazdroszczą drugim, jeżeli się im zdaje, że ci drudzy cieszą się większą miłością i szacunkiem u niego. Wtedy bowiem proboszcz gotów jednym wierzyć więcej aniżeli drugim, i stąd nieraz ma fałszywe pojęcia o stosunkach.

Jeszcze trudniejsze staje się zadanie proboszcza, gdy go stosunki zmuszają do karcenia i upominania, przyczem nie może się on oglądać na względy ludzkie. Rozprowadzić *cum omni patientia et doctrina...*

Niech się każdy zbada, jak on się zachowuje wobec swego duszpasterza. Niech pamięta, że jest członkiem parafji, a nie biskupem ani też nie korespondentem gazet...

Niech każdy pamięta, że za kapłanem stoi Chrystus Pan, który się nieraz upomniał o cześć i posłuszeństwo, należne swemu słudze, boć przecie na niego włożył posłannictwo i namaszczenie swoje.

Ks. Jan Korzonkiewicz.

CHRYSTUS-KRÓL.

(Szkice kazań.)

I. Przeciwnicy i zwolennicy Chrystusa-Króla.

Motto z hymnu nieszporów. Zbrodnicza rzesza wykrzykuje: nie chcemy, by Chrystus królował, a my radośnie nazywamy Cię najwyższym Królem wszystkiego.

Przeciwnicy Chrystusa-Króla. Oprzeć się na przypowieści Chrystusowej o grzywnach (Łuk. 19, 12-27) Uwydatnić tekst „*Nie chcemy, aby Ten królował nad nami*". Przedstawić, jacy to przeciwnicy i dlaczego występują przeciwko Chrystusowi. Jednych ponosi pycha, drugich zwodzą uciechy, innych odciągają majątki, a wszystkim przeszkadza Bóg, Chrystus, zawadza religja, chcą swawoli.

Zwolennicy Chrystusa-Króla. Ludzie dobrej woli oświadczają przeciwnie: Chcemy, aby Ten królował nad nami, Jezus Chrystus, Syn Boży. Radośnie nazywają Go najwyższym

Królem wszystkiego. Chrystusa-Króla uznają i czczą święte imię Jego. „*Święć się imię Twoje*“. Chrystusowi-Królowi wiernie służą i wypełniają Jego Boską wolę. „*Bądź wola Twoja*“. Rozszerzają królestwo Chrystusowe we własnych sercach, w rodzinie i w społeczeństwie. „*Przyjdź królestwo Twoje*“.

Chrystus-Król z przeciwnikami da sobie radę: albo doczekają się sprawiedliwego wyroku, albo się nawrócą do swego Króla. Mamy się modlić o opamiętanie zbłąkanych, o nawrócenie grzeszników. „Chryste, Książę Pokoju, podbij buntownicze umysły, a miłością swoją zgromadź zbłąkanych do jednej owczarni“.

Chrystus-Król błogosławi swoim zwolennikom. Błogosławieństwo Chrystusowe jest nam bardzo potrzebne: każdemu zosobna, każdej rodzinie, każdej wsi, każdemu miastu, każdej parafji, całej Polsce. Oddajmy się pod berło Chrystusowe. Chryste Królu, nie opuszczaj nas! Jezu, nie opuszczaj nas!

II. Syn Człowieczy, Nazareński, Syn Boży: Chrystus-Król.

W różańcu o Imieniu Jezus, śpiewanym po kościołach naszych, — w wezwaniach przy każdej tajemnicy modlimy się o zmiłowanie do Chrystusa Króla.

Część radosna. A gdy Jezus przechodził z onąd, szli za Nim dwaj ślepi, wołając i mówiąc: Zmiłuj się nad nami, Synu Dawidów (Mat. 9, 27). W niedołęstwie naszem, grzeszni, chorzy, kalecy, biedni, jak ci dwaj ślepcy, idziemy do Chrystusa-Króla, ażeby nas poratował, żeby nam dopomógł, żeby nas oświecił. Wołamy, śpiewamy, modlimy się szczerze: Jezusie, Synu Dawidów, zmiłuj się nad nami!

Część bolesna. Na głowie Jezusa korona cierniowa; zamiast berła gwoździe w krwawych Jego rękach; tronem Jezusowym krzyżowe drzewo. A na wierzchu nad królewską głową Ukrzyżowanego napisano: Jezus Nazareński Król Żydowski (Jan 19, 19). W cierpieniu, w nieszczęściu, w bólach i w płaczu idźmy pod krzyż, pokłońmy się Zbawicielowi. Jezus z krzyża schyli ku nam głowę, otworzy nam serce, a my uderzymy czołem o ziemię przed Chrystusem ukrzyżowanym i zawołamy: Jezusie Nazareński, Królu Żydowski, zmiłuj się nad nami.

Część chwalebna. A przyszedł Jezus w strony Cezarei Filipowej, i pytał uczniów swoich, mówiąc: czem mienią być

ludzie Syna człowieczego? A oni rzekli: jedni Janem Chrzcicielem, a drudzy Eljaszem, a inni Jeremjaszem, albo jednym z proroków. Rzekł im Jezus: a wy kim mię być powiadacie? Odpowiadając, Szymon Piotr rzekł: Tyś jest Chrystus Syn Boga żywego (Mat. 16, 13-16). Nie bójmy się niczego, brońmy wiary i nauki Chrystusowej, i całem sercem wołajmy do Chrystusa-Króla: Jezusie, Synu Boga żywego, zmiłuj się nad nami!

III. Chrystus-Król: w jednostce, w rodzinie, w społeczeństwie.

Motto. Ma królować, bo wszystko oddał Bóg pod nogi Jego; aby Bóg był wszystko we wszystkich (I Cor. 15, 25, 26).

Chrystus Królem w jednostce. Jezus króluje nad rozumem człowieka swoją nauką, jako Prawda najwyższa. Jest prawda Chrystusowa we mnie (I Kor. 11, 10). Chrystus króluje nad sercem człowieka, jako miłość najofiarniejsza. Bóg, który jest bogatym w miłosierdziu, dla zbytniej miłości swojej, którą nas umiłował, i gdyśmy byli umarłymi przez grzechy, ożywił nas społem w Chrystusie (Ef. 2, 4-5). Chrystus króluje nad wolą i życiem człowieka swojemi zbawczemi prawami. Weźmijcie jarzmo moje na się, a uczcie się odemnie, żem cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek duszom waszym (Mat. 11, 29).

Chrystus Królem w rodzinie. W hymnie laudesów odmawiają kapłani na uroczystość Chrystusa-Króla: „Wiara utrzymuje małżeństwa, młodzież bez skazy dorasta, wstydliwe progi kwitną domowemi cnotami". Rozwinąć myśli zawarte w tym tekscie. Chrystus żył na ziemi w rodzinie z matką Marją i z opiekunem Józefem. Chrystus przyjaźnił się z rodzinami, które żyły po Bożemu, jak np. w Betanji Łazarz, Marja i Marta.

Chrystus Królem w społeczeństwie. W nieszpornym hymnie modlą się księża do Chrystusa-Króla: „Niech Cię zwierzchnicy narodów podniosą w publicznem uczczeniu, niech Cię uczczą nauczyciele, sędziowie, niech Cię wyrażą prawa i sztuki. Niechaj jaśnieją uległe oznaki królów poświęcone Tobie: i łagodnemu berłu poddaj ojczyznę i domy obywateli". Chrystus, wysyłając Apostołów na cały świat, powiada: dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi (Mat. 28, 18). Pan sędzią naszym, Pan zakonodawcą naszym: Pan Królem naszym, On nas zbawi (Iz. 33, 22). Starajmy się, żeby Chry-

stus naprawdę był Królem: w szkole, w sądzie, w urzędach, w stowarzyszeniach, w całem społeczeństwie, w całej Polsce.

Chrystusowi-Królowi należy się hołd. Jezu, niech Ci będzie chwała, który kierujesz berłami świata, z Ojcem i z Duchem Świętym na wieczne wieki.

IV. Chrystus Królem w żłóbku, na krzyżu, na ołtarzu, w niebie.

W żłóbku. Królewskiemu Dzieciątku śpiewają anieli, kłaniają się pasterze, składają dary królowie. Gdzie jest, który się narodził Król Żydowski? Albowiem widzieliśmy gwiazdę jego na wschód słońca i przyjechaliśmy pokłonić się jemu (Mat. 2, 2). I my się kłaniamy Królowi, który się narodził z Marji Panny, na święta Bożego Narodzenia.

Na krzyżu. Żydzi przed Piłatem skarżą na Jezusa: Tegośmy znaleźli odwracającego naród nasz i mówiącego, że on jest Chrystusem-Królem (Łuk. 23, 2). Żołnierze przychodzili do Chrystusa, a mówili: witaj Królu Żydowski (Jan 19, 3). Rzekł Piłat Żydom: Króla waszego ukrzyżuję? Odpowiedzieli najwyżsi kapłani: Nie mamy króla jedno cesarza (Jan 19, 15). I ukrzyżowali Chrystusa-Króla. Wisi na krzyżu Pan, Stwórca nieba: wisi na krzyżu Jezus Nazareński, Król Żydowski. Setnik, który stał pod krzyżem, bije się w piersi: Prawdziwie człowiek ten był Synem Bożym. I my się kłaniamy Królowi ukrzyżowanemu w okresie Wielkiego Postu, a najbardziej w Wielkim Tygodniu.

Na ołtarzu. Nie zostawię was sierotami: przyjdę do was (Jan 14, 18). A oto Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata (Mat. 28, 20). I stało się, gdy siedział z nimi u stołu, wziął chleb, i błogosławił, i łamał, i podawał im. I otworzyły się oczy ich, i poznali go, a on zniknął z oczu. A oni powiadali, co się działo w drodze: jako go poznali po łamaniu chleba (Łuk. 24, 30-31, 35). Oczy nasze nie widzą Jezusa, a jednak Jezus jest z nami, utajony w Najświętszym Sakramencie. Poznajemy Go w łamaniu chleba przy Komunji świętej, że jest naszym Królem Eucharystycznym i oddajemy Mu pokłon serdeczny, a osobliwie w czasie oktawy Bożego Ciała.

W niebie. I stało się: gdy im błogosławił, rozstał się z nimi, i był niesion do nieba. A oni pokłon uczyniwszy, wrócili się do Jeruzalem z weselem wielkiem; i byli zawsze w kościele, chwaląc i błogosławiąc Boga (Łuk. 24, 51-53). A Pan

Jezus, potem jako do nich mówił, wzięty jest do nieba, i siedzi na Prawicy Bożej (Mar. 16, 19). Chrystus króluje w niebie, a my z tej biednej ziemi, z tej łez doliny kłaniamy się Chrystusowi-Królowi, chwalimy i błogosławimy Boga, przedewszystkiem w czasie Wielkanocnym.

Chrystus Królem naszym w żłóbku, na krzyżu, na ołtarzu, w niebie. Serce nasze na wzór żłóbka i ołtarza powinno być mieszkaniem i tronem Chrystusa-Króla. W cierpieniach ziemskich módlmy się pod krzyżem Chrystusowym i krzepmy się nadzieją na niebo Chrystusowe. Obyśmy zasłużyli sobie znaleźć się po prawicy na sądzie Bożym. Tedy rzecze Chrystus-Król tym, którzy będą po prawicy Jego: pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, otrzymajcie królestwo wam zgotowane od założenia świata (Mat. 25, 34).

Ks. Ant. Sobczyński.

O GRZESZNIKACH, CELNIKACH I ICH DZISIEJSZYCH KOMPANACH.

(Przekład nauki niedz. E. Fiedlera: *Himmelreich*, 29. VI. 1930).

Znowu powagi faryzeuszowskie kręcą głowami. Nie pierwszy to raz z pewnością i nie ostatni. Ten rabbi z Nazaretu jakoś nie utrzymuje się w roli uczonego i nauczyciela. Ani to kapłan, ni lewita. Bez należytego teologicznego wykształcenia. Coś w rodzaju świeckiego predykanta. Jak na niego, to wiele, że wogóle czytać i pisać potrafi. Kto zresztą wie, gdzie się tego nauczył. Dziwne, naprawdę bardzo dziwne głosi nauki. O Bogu, którego imienia żaden żyd nie odważyłby się nazwać, mówi jako o swoim ojcu. „Ojciec mój w niebiesiech“ i „Ojciec wasz w niebiesiech“. Tłumy całe idą wślad za nim, a on staje przed niemi i z całym spokojem oświadcza: „Słyszeliście, że mówiono wam..., a ja wam powiadam...“ Trochę to za dużo jak na człowieka pochodzącego z jakiejś tam zapadłej mieściny galilejskiej i trudniącego się do 30 roku życia jedynie ciosaniem drzewa i heblowaniem desek. Gdybyż to przynajmniej z szacunkiem odnosił się do ludzi, którzy ślęczeli nad każdem zdaniem mojżeszowego pięcioksięgu; którzy wszelkie postanowienia *Deuteronomium* i *Leviticus* w małym palcu mają; którzy proroków całemi stronami z pamięci cytują. Czy się pytał kiedy ten człowiek o radę którego z uczonych? Czy uczył się u którego rabbi ze szkoły faryzeuszów? Przeciwnie! Ujawnia tę

niesłychaną czelność i głosi publicznie przypowieść o jakimś faryzeuszu i celniku. — Słyszycie! O celniku, tej gałganerji, tej zakale całego kraju, o tych szubrawcach, złodziejach, oszustach, z którymi żaden porządny człowiek nie chce się stykać, — a rezultat jaki? Ów faryzeusz, który w swej szlachetnej prostocie stoi przed Bogiem i jako człowiek prawowierny i pobożny mówi Mu o swoich uczynkach..., a więc taki zupełnie poprawny faryzeusz jest razem z celnikiem w świątyni. I on, ten rabbi z Nazaretu, powiada, że sprawiedliwym jest ten celnik, a nie faryzeusz, i to jedynie dlatego, że bije się w piersi i mówi, że jest nędznym grzesznikiem. Jeszczeby tego trzeba było, żeby taki chciał się inaczej nazywać, niż grzesznikiem! Wszak i P. Bóg i każdy zresztą wie, że to grzesznik. Nie dziw, że celnicy i inne tałatajstwo biega za nim i godzinami się przysłuchuje jego naukom. A przecież takie rzeczy podkopują autorytet, odbierają do reszty nieuświadomionemu ludowi — chciałoby się powiedzieć, motłochowi — nieodzowne dla utrzymania porządku zaufanie do stróżów prawa mojżeszowego. Zakrawa to na rewolucję przeciwko świątyni i św. Synedrjum. A jakiem prawem on występuje? Powołuje się na swoje cuda. Tych coprawda nikt nie umie powtórzyć. Wogóle te jego cuda są właściwie punktem najdrażliwszym. Nawet umarłych wskrzesza. To zmusza do myślenia. Swoista jednak logika faryzeuszów mówi: trzeba go więc usunąć. Dziwna to droga do utrzymania się przy władzy, a jednak w ciągu stuleci jakże często uprawiana przez ludzi, którzy siebie i system swój uważali za jakąś dziejową konieczność.

Dodajmy jeszcze i to, że Chrystus nietylko do tych celników i im podobnych przemawia, ale nawet wstępuje do ich domów, przyjmuje od nich zaproszenia i siada z nimi do stołu. Nauczać, owszem! Niechby im uczciwie prawdę wyłożył i sprawił im łaźnię! Ale pioruny i bicze dostają się faryzeuszom, choćby przypomnieć owe groby pobielane, wewnątrz pełne zgnilizny i t. p. rzeczy. I to się głosi nie w cztery oczy, lecz całkiem publicznie. A z tamtymi to jada! Ładny z niego prorok! I to mu otwarcie zarzucają. Rozdział zaś 15 ewangelji św. Łukasza podaje odpowiedź Zbawicielową. Zaiste daleko mniej wiedzielibyśmy o cudach dobroci Bożej, gdyby nie było tego rozdziału w Nowym Zakonie. Przypowieść o zaginionej owieczce, o zgubionej drachmie, o synu marnotrawnym. Jakby pasterz jaki, wychodzi Bóg po tę jednę zaginioną, jakoby nie

było 99, które Mu zostały — idzie i szuka i bierze pełen radości zgubę na ramiona swoje i odnosi ją do owczarni. A szuka jak ta niewiasta, dla której jeden złoty stanowi wielką stratę, — więc wymiata całą izdebkę, wszystkie sprzęty przestawia i wciska miotłę tam, gdzie już ręka nie sięga, aż wreszcie znajdzie drachmę. A tak się z tego cieszy, że biegnie do swoich sąsiadek i opowiada im, ile to miała zmartwienia, a jaka teraz szczęśliwa. Bóg zaś wszystko posiada i niczego nie potrzebuje, a jednak zachowuje się jak ten, który tylko dziesięć ma drachm i jednę gubi — a tą jedną to ja jestem. A tą jedną jest każdy, kto z Bogiem zerwał, każdy, kto wiarę stracił, każdy, kto się dostał do domu karnego, bo silniejszy był grzech, niż jego wola, silniejsza pokusa, niż jego poznanie, silniejsza namiętność, niżeli motywy, które jego wolę mogły były nakłonić do sprzeciwu. Zgubiona to drachma Boga, której On szuka i odnaleźć pragnie.

I dlatego trzeba było, żeby Chrystus był razem z grzesznikami i celnikami, żeby z nimi rozmawiał, był dla nich pełen dobroci i żeby się stał ich przyjacielem, — wszak chce ich odnaleźć i zwrócić Ojcu swojemu.

I dlatego każdy, który w imię Chrystusowe idzie do ludzi, musi — o ile z całą powagą traktuje swe posłannictwo — zbliżyć się do tych, co nie mając oparcia, upadają, co już upadli i do zaginionych należą, którym życie i namiętności drogę do Boga zamknęły. Powinien starać się o to, aby się stał ich przyjacielem. Musi przekonać ich o tem, że jest ich druhem, posłańcem tego, którego zowią przyjacielem grzeszników; posłańcem Ojca, który wychodzi po zaginioną owieczkę i szuka zgubionej drachmy. Zawsze więc rzeczą pierwszą i najważniejszą będzie to, aby się przekonali, że mają przed sobą przyjaciela. Choćby nawet z tego powodu wszyscy faryzeusze świata głowami kręcili. Często zaś pierwszy faryzeusz, który się odzywa — to faryzeusz naszego wnętrza; to ten, któremu się zdaje, że Bóg wielce z niego zadowolony, bo istnieją zbrodnie, których on nie popełnił; — to ten bohater nijakiej cnoty, co to głową kręci, że inni czynią coś takiego, do czego on nie czuje najmniejszej ochoty, bo rzetelne wychowanie zbudowało w nim odpowiednie zapory, do czego może brak mu jedynie odwagi, bo mogłoby to i owo wyjść najaw, więc lepiej na to się nie narażać. Zbawicielowi natomiast wszyscy ci grzesznicy byli błąkającymi się ludźmi, potrzebującymi pomocy i przyjaciela,

którego nauczyli się kochać i podziwiać, bo był taki we wszystkiem inny, a mimo to dla nich taki dobry.

Po dziś dzień utrzymuje się ten pogląd, że przy słowie „zgubieni“ myśli się niemal wyłącznie o tych, którzy z powodu dzisiejszych straszliwych warunków społecznych tracą wiarę i Kościół opuszczają. Nie zapominajmy jednak o zaginionych owieczkach wśród naszych wykształconych i społecznie wyżej stojących współwyznawców. I dla nich częściej ma się kamienie potępienia, aniżeli ową dobroć, która za nic w świecie tlącego knota nie zagasi, ani nadłamanej trzciny nie dołamie!... Kto wierzy szczerze w możliwość zaginienia, kto rozumie, jak Bóg poszukuje zagubionej drachmy i jak się cieszy z jej odszukania, ten z całym wysiłkiem i ze szczerą gotowością będzie się starał pozostać lub stać się przyjacielem właśnie tych, którzy błąkają się po manowcach, zdala od Boga i od niebieskiej ojczyzny. I u nas także istnieje straszliwie dużo faryzeizmu, takiego czelnego, dobrze utuczonego faryzeizmu, i dużo się znajdzie ochotnych rąk, co to wymachują nożycami, a nie dbają o to, żeby z wszelką pieczołowitością uchronić ostatnią niteczkę, co się jeszcze utrzymała. Chciałoby się niemal uchylić czapki przed dawnymi faryzeuszami. Płacili przecież mimo wszystko dziesięcinę od swego dorobku. Wprawdzie to nie uchroniło ich od Zbawicielowego „biada“. Nasi faryzeusze mają lżej: zadowalają się zimną nieczułością i poczuciem własnej doskonałości.

Spolszczył *ks. L. Gasiński.*

CZŁOWIEK O DWU DUSZACH...

Ewangelja o modlitwie w imię Jezusa — (Jan 16, 23—30).
(Na 5 niedzielę po Wielkiejnocy).
(Himmelreich, 1930).

W ośmioklasowej katolickiej szkole w dzielnicy proletarjackiej Berlina rozdał nauczyciel religji stu chłopcom trzech najwyższych klas kwestjonarjusze z dziesięcioma pytaniami na temat wartości religji. Jedno z tych pytań odnosiło się do modlitwy. Otóż przeszło trzydzieści procent tych katolickich dzieci takie daje odpowiedzi: „modlitwa — to głupstwo“, „modlitwa jest bezcelowa“, „obiad smakuje dobrze i bez modlitwy“. Dwadzieścia procent natomiast dało odpowiedzi wymijające.

Pastor protestancki, Piechowski *(Proletarischer Glaube*, Berlin), stwierdził, rozsyłając kwestjonarjusz, że dwie trzecie

robotników protestanckich zgóry odrzuca wszelką modlitwę (str. 135). Niema jednak zbyt wielkiej różnicy między owymi 50% chłopcami ze szkoły katolickiej, a 60% robotników. Zapytania w innych kołach dałyby zapewne równie nieoczekiwane wyniki. Prawdziwa modlitwa, z serca płynąca, w przeciwieństwie do modlitwy z przyzwyczajenia, — wyjąwszy owo rozpaczliwe wołanie o pomoc w chwilowem beznadziejnem położeniu — jest wypływem wiary, co nawskroś przeniknęła umysł i wolę. A taka wiara dziś coraz rzadsza. Wina to otoczenia naszego mniej lub więcej niewierzącego. Może nie tyle bliższego, osobistego koła znajomych, choć i tego trudno uniknąć, zwłaszcza, że nie zawsze mamy swobodny wybór w tym względzie. Lecz kto go dziś ma? Chodzi tu raczej o szersze środowiska kulturalne, w których się obracamy, chodzi o maksymy życiowe, z któremi się spotykamy bądź w życiu społecznem, bądź prywatnem, w literaturze, w prasie. Jakiż czekałby nas wynik, gdyby zapytać, ilu z owych sześćdziesięciu miljonów mieszkańców Rzeszy Niemieckiej wierzy jeszcze w bóstwo Chrystusa. Kto, pytam, zdobędzie się na taką dozę optymizmu, by przyjąć w odpowiedzi liczbę choćby dwudziestu miljonów? Człowiek wierzący — zdajemy sobie z tego sprawę — żyje dziś wszędzie w diasporze, jest członkiem mniejszości. Natomiast ogólnie panująca atmosfera intelektualna stanowi większość. Wobec tego ten tylko człowiek, co jeszcze sobie zdaje sprawę z takiego stanu rzeczy, a obowiązek, „żeby być innym“ — uważa za rzecz oczywistą i to osobiste przekonanie umie w czyn wprowadzić, ten tylko, powtarzam, uniknie tego niebezpieczeństwa, żeby się nie stał człowiekiem o dwu duszach: o duszy wierzącej dla potrzeb religijnych, do udziału w nabożeństwach i w sakramentach — oraz duszy niewierzącej na dzień powszedni, na codzienne kłopoty i maksymy życiowe. To jakby dwie komory, albo dwa pokoje w jednem sercu. W jednym pokoju ołtarz, na ścianach wersety z ewangelji. Na skromnej półce kilka modlitewników, może nawet mszalik, może Nowy Testament (zanim weźmiesz do ręki, oczyść go odkurzaczem). Światło tu przytłumione, powietrze duszne. Przy wejściu do tego pokoju opanowuje cię uczucie, że leżało tu już na marach kilka osób, i że sam w tym pokoju kiedyś spoczniesz. Zanim tam wejdziesz, złożysz odświętne, nieco ciasne ubranie. — Natomiast w drugim pokoju okna otwarte naoścież, na ulicę, ku słońcu. Ku wszystkiemu, co piękne, radosne, co nie dopuszcza nudów. Na ścia-

nach sporo ładnych, wesołych, roześmianych obrazów. W bibljotece najnowsze wydawnictwa literackie, ostatni wyraz mody i nowości. Autorowie wszyscy pochodzenia aryjsko-semickiego. Na biurku gazety i czasopisma. Przedmiotów kultu religijnego prawie się nie uświadczy, chyba, że należą do działu pod nazwą „sztuka“. Jakże tu wygodnie w tym drugim pokoju twego „Ja“. Gdy odwiedzi cię kto z przyjaciół, nie znajdzie nic, coby raziło poczucie postępowego inteligenta. Ma on przecie u siebie i Madonnę Rafaela. Zawiesił u siebie nawet Magdalenę Correggia, której ty ze względu na jakieś podświadome zastrzeżenie, pochodzące z tego tam pierwszego pokoju, nie zawiesiłeś — ma ona przecie na sobie mało okrycia. I rzeźba beurońska znajdzie jego upodobanie, zwłaszcza gdy dla uspokojenia go dodasz, że hieratyczna sztuka Egipcjan wywarła na ten kierunek sztuki wpływ niemały. Jakżeby się jednak zdumiał twój przyjaciel, gdybyś go zawiódł do drugiego pokoju o zawieszonych smutnych oknach. Nie! Tegoby się po tobie nigdy nie spodziewał. Nigdyś się z tem nie zdradził. Wszak mieliście zawsze jedne poglądy! Zdumienie go ogarnia, że głosisz dwa sprzeczne ze sobą poglądy na życie, że w jednej jaźni nosisz dwa światy, przegrodzone od siebie podwójnemi drzwiami. Żaden odgłos życia nie dochodzi z jednego świata do drugiego. Nie wie tylko twój przyjaciel, jakiej ty zczasem nabyłeś wprawy, by zapomnieć o jednym pokoju, gdy gościsz w drugim. I że do pokoju z ołtarzem, z mszalikiem itd. itd. udajesz się tylko w godzinach ustalonych zwyczajem — chyba, że byt drugiego pokoju, wygodnego i pięknego jest zagrożony, — wtedy oczywiście pobiegłbyś także poza zwykłemi, urzędowemi godzinami do przedziału p. n. „pobożność“, aby żarliwie wymodlić sobie byt pokoju nr. 2, w którym rozgrywa się walka o mamonę, o twoje interesy, o zabawy.

Ostatecznie każdy człowiek w najwnętrzniejszej strukturze psychicznej nastawiony jest na uczciwość. Posiada piętno uczciwości wyryte w duszy. Umie coprawda innych w błąd wprowadzić, lub w razie potrzeby ukryć się za chmurą sztucznej mgły, lecz wątpliwe — czy także wobec siebie samego. Do tej doskonałości dojdzie może dopiero po wielu latach żmudnej pracy, a i to tylko do czasu. Piętna ukryć niepodobna. Mści się później na nim nieczyste sumienie. A jeśli przypadkiem niebezpieczeństwo zajrzy w oczy? O, wtedy biegniesz do pokoju nr. 1 i błagasz o pomoc, choć w głębi duszy jesteś przekonany,

że na pomoc liczyć nie możesz, że najmniejszego do niej nie masz prawa. Modlisz się. Może czasem nawet stanowczo i żarliwie, ale przyznaj, że brak ci należytej ufności. Słusznie rozum twój — choć przyćmiony potrzebą chwili — mówi ci, że odwieczny, wszechwładny Bóg nie poto istnieje, by cię strzec przed skutkami własnej nierozwagi, gdy powiadasz, że sam już tego nie potrafisz. Wiara i modlitwa — to twoja deska ratunku, której się rozpaczliwie czepiasz, gdyś bliski zatonięcia. Gdy zaś poczujesz grunt pod nogami, to ją znowu puszczasz na fale. Skłonny byłbyś nawet, oczywiście w chwilach najsromotniejszej nędzy, do najponętniejszych obietnic i najdalej idących zobowiązań i ślubów. Wszystko w formie pospolitego handlu: jeśli dziś, gdym się tak zaplątał w niepowodzenia, gdy mi się ziemia pod stopami pali, pomożesz, to gotów będę... itd. Może czasem forma będzie łagodniejsza, skromniejsza. Sytuacja opłakana, człowiek boi się zadrzeć. Bodaj że nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, że składając takie obietnice, postępujesz podobnie, jakbyś ofiarował komu 25% za pożyczkę, której do jutra rana gwałtownie potrzebujesz. Dziś nazwiesz tego, który gotów jest użyczyć ci pieniędzy, aniołem, jutro zaś, płacąc procenty — lichwiarzem. A gdy zobowiązanie płatne, zgrzytasz zębami.

Gdy cię Bóg wyzwoli z matni, to gotów jestem na 95% ręczyć, że zapomnisz o wysokich procentach, jakie mu obiecywałeś. Sumienie swoje uspokoisz słowy, że to nie było znowu tak wielkie niebezpieczeństwo, jak ci się pod wływem chwilowej depresji zdawało... no i ostatecznie któż to dowiedzie, że to modlitwa ci pomogła. Modlitwa w imię Jezusa ma zagwarantowane wysłuchanie i radość doskonałą. W jaki jednak sposób się do niej zabrać? Rzecz to zupełnie prosta. Kto się tego nauczył, ten wygrał. Czyż możnaby się tego nauczyć? Owszem! Pod jednym atoli warunkiem, który obejść niepodobna. Trzeba zupełnie zlikwidować system dwuizbowy, o którym była mowa. Religja nie może pozostać nadal ściśle odgrodzonym, zamkniętym na spusty pokojem. Pokojem, do którego się wchodzi w pewnych tylko okolicznościach. Z dwóch jeden trzeba zbudować i przeznaczyć go dla Boga. Zedrzej wersety biblijne ze ścian i uczyń je żywem prawem na niedzielę i na codzień, na czas żałoby i szczęścia, na pracę i na spoczynek. Ten tylko człowiek, który umie swoje „ja“ zanurzyć w żywej wierze Jezusowej, umie się i modlić w imię Jezusa.

Każda inna modlitwa jest modlitwą ot tak, na próbę. Człowiek przebywający lwią część swego życia w świecie bez Boga, zawsze nieswojo, obco czuć się będzie, gdy mu wypadnie stanąć przed Bogiem. Obcość zaś odbierze mu ufność, bez której każda modlitwa jest bezcelowa. Ten tylko człowiek, który czuje nad sobą skrzydła ojcowskiej woli Bożej, ten jeno, co mu słowa „*włos z głowy*“ stały się prawdą oczywistą, składa ręce pewny wysłuchania. Wie on przecież, że i „*nie*“ jest często łaskawem wysłuchaniem. Wie on też, że choćby prosił na górze Oliwnej swego życia z wiarą Jezusową i w imię Jezusa, a Bóg milczy, to jednak bliższy jest Zmartwychwstania i Przemienienia i radości doskonałej, aniżeli sądził.

Emil Fiedler.

Spolszczył diakon *Gajdus* (Pelplin).

KRONIKA.

Bonn. I. zjazd Międzynar. Stowarzyszenia dla fonetyki eksperymentalnej. — Każdy, komu leży na sercu, aby wewnętrzne, psychiczne walory kazania uwydatniły się w całej pełni nazewnątrz i wniknęły jak najgłębiej w dusze słuchaczy zapomocą żywego słowa, doceni zabiegi fonetyki eksperymentalnej. Młoda to jeszcze stosunkowo nauka, badająca głos i głoski metodami przyrodniczemi. Wspomniano już o niej w tem czasopiśmie jako o jednej z najważniejszych podstaw higjeny mowy (cfr. rocznik 1929, zesz. 3, str. 206). Założycielem jej jest *abbé Rousselot,* genjalny myśliciel i konstruktor przyrządów fonetycznych († 1924 r.). W r. 1928 powstało w Hadze międzynarodowe stowarzyszenie fachowców pracujących na tem polu. W czerwcu b. r. stowarzyszenie to odbyło pierwszy zjazd swój na uniwersytecie w Bonn. Trwał on 5 dni. Wygłoszono około 40 referatów o specjalnych i zawiłych zagadnieniach tej nauki. Zgromadzili się tam przedstawiciele 18 narodów. Z Polski między innymi był obecny dr. T. Benni, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Referat wygłosił ks. dr. St. Wilczewski z Katowic.

Płock. Kurs teologiczny o kaznodziejstwie. Na kursie teologicznym, który się odbył w Płocku od dn. 8—11 lipca b. r. z udziałem 170 księży, ks. profesor Kontecki mówił „o stanie obecnym kaznodziejstwa w Polsce“. Referent wspomniał pobieżnie o rozwoju kaznodziejstwa i jego upadku od XVIII w. Do przyczyn upadku zalicza: niewrażliwość słuchaczy na słowo Boże, czerpanie treści z mętnych źródeł, obojętność religijna wywoływana warunkami społecznemi, agitacja złowroga. W ostatnim dziesiątku lat drukowano wiele u nas kazań i nauk katechizmowych, ale na-

ogół brak im treści i orjentacji, widoczny pośpiech w opracowaniu. Najważniejszą jednak wadą to „ignorantia Scripturae“, a co zatem idzie „ignorantia Christi“. Są cytaty z Pisma św., ale papierowe, bez wewnętrznego ducha ksiąg natchnionych.

Aby postawić kaznodziejstwo na wyższym stopniu, uwzględnić należy wskazania: 1) wprowadzić naukowe wykłady Pisma św., 2) nie używać plagjatów z podręczników, lecz przetrawić przedmiot indywidualnie, 3) nie wybierać tematów abstrakcyjnych, lecz poruszać zagadnienia żywotne na tle prawd Bożych, będzie to realizm życia religijnego, 4) zwracać uwagę na poprawną dykcję i sposób wygłaszania kazań, nie zaniedbując techniki samej dykcji, nie lekceważyć wymowy św. w praktyce parafjalnej i nie traktować kazań jako tylko dodatkowej części nabożeństw kościelnych. Wreszcie prelegent dotknął sprawy wykładów homiletyki w seminarjach duchownych, które nie mogą być tylko teoretycznemi, przez przygodnych profesorów prowadzonemi, lecz wymagają szczerego oddania się i praktycznych ćwiczeń z alumnami. Przy tej okazji prelegent podał literaturę kaznodziejską ostatnich czasów, pokazując dzieła z bibljoteki seminaryjskiej. W dyskusji zwrócono uwagę na wewnętrzne przygotowanie kaznodziei, na programowość ściślejszą i administrację kaznodziejską przez notowanie kazań wygłaszanych. Podano również projekt odczytywania co niedzielę lekcji, oprócz ewangelii, aby zaczerpnąć tematów nowych do homilij, które poprzedzają zazwyczaj wykład katechizmowy w naukach niedzielnych. (Mies. Past. Pł., Nr 7, str. 236).

Wilno. Kurs duszpasterski o kaznodziejstwie. Na kursie duszpasterskim dla księży archidiecezji wileńskiej, zapowiedzianym na 4-8 listopada, przewidziane są m. i. tematy kaznodziejskie. Ks. dziekan Ild. Bobicz ma omówić dwa tematy: a) współczesne zadania ambony katolickiej i b) opracowanie kazania z uwzględnieniem różnych rodzajów wymowy kościelnej. — Ks. prof. Puciata ma mówić o uświadamianiu religijnem mas—metody i sposób.

Łomża. Zarządzenia dotyczące ambony. Na kongregacji księży dziekanów, odbytej w sierpniu b. r., ks. bp. Łukomski, ordynarjusz łomżyński, wydał pewne zarządzenia, dotyczące pracy na ambonie. Wychodząc z założenia, że „do uświadomienia religijnego parafjan wszystkich warstw nadają się najlepiej kazania katechizmowe i liturgiczne dobrze przygotowane i wygłaszane wedle tematów na cały rok rozłożonych“, polecił księżom proboszczom tę formę kazań zaprowadzić po kościołach. Zapowiedzi i wypominki należy głosić przed kazaniem. O ile liczba tych ostatnich jest znaczna, należy je rozłożyć na dwie lub więcej niedziel. Można zaś zaniechać odmawiania z ambony całego pacierza albo odmawiać go po nabożeństwie.

Włocławek. Kazania o św. Augustynie. — Ordynarjusz włocławski, idąc za myślą Ojca św., wyrażoną w encyklice o św. Augustynie, polecił duchowieństwu jednę z niedziel poświęcić

uczczeniu tego wielkiego Doktora Kościoła i w tym dniu kazanie głosić na temat życia św. Augustyna i jego znaczenia dla Kościoła. Po materjał do przemówień (w kościele i na wieczornicach) odsyła do encykliki i do wrześniowego zeszytu „At. Kapł."

Lublin. Ambona o św. Augustynie. Ordynarjusz lubelski, pragnąc, aby jubileusz św. Augustyna był w duszpasterstwie wykorzystany do podniesienia świadomości katolickiej, polecił swemu duchowieństwu, aby choć jedno kazanie w tym roku było poświęcone pamięci św. Augustyna. Wskazując na pomoce literackie, zauważył, że literatura augustjańska w Polsce się w tym roku wzmogła, że „Ateneum Kapłańskie" zeszyt wrześniowy poświęciło tej rocznicy, a nadto ukazały się dwa wydania „Wyznań św. Augustyna".

Lublin. Ambona o wyborach. Ordynarjat lubelski, wydając duchowieństwu instrukcję o wyborach (Wiad. Diec. Lub., Nr. 8, str. 262), m. i. powiada: „O partjach politycznych jawnie wrogich Kościołowi kapłani mają obowiązek wiernych uświadamiać nie gołosłownie lub inwektywami, lecz rzeczowo przez dokładne wykazanie błędów i czynów Kościołowi wrogich. Najwłaściwszym terenem do omawiania tych rzeczy są zebrania poza murami kościoła i w prasie. Nie może być za dużo tej działalności, bo szkody już poczynione wielkie; między innemi utorowano drogę do sekciarstwa. Na ambonie można i trzeba o tem mówić, ale bardzo spokojnie i rzeczowo, bez wymieniania osób i piętnowania indywidualnego. Im większa będzie roztropność w mówieniu z ambony, tem większy wpływ wywrze w kierunku zbawiennym. Natomiast każdy kapłan, a tem bardziej każdy katolik ma pełną swobodę głosowania na partje polityczne wszelkich odcieni, które są względem Kościoła lojalne, albo przynajmniej nie wrogie. Roztropność i sprawiedliwość wymaga, aby teren kościelny był całkowicie wolny od zachwalania lub zalecania partyj politycznych. Nacisku w tym względzie czynić nie wolno w żadnej formie. Duchowieństwo wezwie wiernych do modlitwy na intencję wyborów i przypomni obowiązek obywatelski stawienia się do urny wyborczej ze swym głosem, który może być tylko dany na człowieka uczciwego i religijnego, bo tylko taki poseł daje rękojmię pracy dla państwa".

Katowice. Tematy egzort o św. Augustynie. Kurja Biskupia w Katowicach wydała zarządzenie, aby księża katecheci dla uczczenia rocznicy św. Augustyna w niedziele adwentowe b. r. głosili egzorty na tematy następujące:

a) Przyczyny moralnego upadku młodzieńca Augustyna (wpływy szkoły pogańskiej, zgubnych zasad ojca, złego towarzystwa, złej lektury, niemoralnych widowisk).

b) Źródła niewiary Augustyna (pycha, zmysłowość, nieznajomość nauki Kościoła).

c) Powody nawrócenia się Augustyna (gorycz i nędza towarzyszące życiu grzesznemu, modlitwa matki, wstrząsające wypadki — śmierć przyjaciela, zachorowanie, kazania św. Ambrożego, słowo Boże).

d) Życie pokutnicze św. Augustyna (unikanie okazji do grzechu, naprawienie zgorszenia, zmianę poglądu na życie i jego trybu).

— Ś. p. ks. inf. Jan Kapica jako kaznodzieja. Ze wspomnienia pośmiertnego, ogłoszonego w „Wiadomościach Diecezjalnych" Katow. Kurji Bisk. (Nr. 10) wyjmujemy urywek, charakteryzujący zmarłego dnia 10 września b. r. ks. Kapicę jako kaznodzieję: „Sam był mówcą złotoustym. Kazania jego miały nutę zupełnie odrębną, swoistą. Szumiały w nich lipy przydrożne i lasy głębokie, śpiewały ptaki polne, dźwięczał poważny i ciężki rytm kopalń i hut, malował się plastycznie całokształt życia górnośląskiego. A nawet gdy o trudnych zagadnieniach filozoficznych przemawiał do parafjan, kreśląc im główne zarysy zawiłych dróg i ścieżek najrozmaitszych poglądów na świat, to po mistrzowsku umiał dobywać obrazów i słów, wiedząc, że *„omne quod percipitur, per modum percipientis percipitur"*. Mowa jego błyszczała, wdzierała się w duszę, podnosiła, gromiła, koiła, porywała. Nieraz zdarzyło się, jak np. na Zjeździe katolickim w 1924 r., że przemówienie ks. Kapicy stało się żywym dialogiem między mówcą a słuchaczami. Szkoda tylko, że kazań swoich zazwyczaj nie drukował, i że późniejsza literatura kaznodziejska mało tylko pereł jego elokwencji przekazać będzie mogła późniejszym pokoleniom".

Przemyśl. Zgon diecezjalnego misjonarza. Dnia 19 marca b. r. zeszedł z tego świata kapłan diecezji przemyskiej, ks. Stanisław Knap, prob. w Besku, dziekan jaćmierski. O nim to umieścił wspomnienie w „Kronice Dziec. Przem." (1930 r., zeszyt 6, str. 256—8) ks. Momidłowski. Przytoczymy tu urywek, dotyczący prac kaznodziejskich ks. Knapa. „Był wybitnym kaznodzieją, ale też i pracował nad sobą w tym kierunku, czytał dużo, sprowadzał nowe prace homiletyczne, lecz brał je do rąk bardzo krytycznie, a zmysł miał pod tym względem wybredny, nie wszystko co wydano, spotkało się z jego uznaniem. Kazania pisał, zwłaszcza, gdy poczuł w sobie talent misjonarski.

Od lat mniejwięcej sześćdziesięciu, po założeniu u nas Bractwa Kapłanów „Bonus Pastor", ożywiły się bardzo parafjalne misje i rekolekcje. Przeorywali diecezję najpierw OO. Jezuici, potem OO. Redemptoryści, obok nich OO. Kapucyni i inne Zgromadzenia zakonne. Wobec licznych zgłoszeń jednak Zakony nie mogły sprostać wszystkim zaproszeniom i wówczas pod koniec już wieku ubiegłego zaczęli na tej niwie pracę i księża świeccy. Przewodniczył im Najprz. Ks. Biskup-Sufragan Fischer, obok niego pracowali — by wymienić tych, co odeszli, ś. p. księża Stafiej (proboszcz w Staromieściu); Puchalski (proboszcz w Łące, później w Wyżnianach, w archidiecezji lwowskiej); Łabuda, profesor pastoralnej w naszem Seminarjum; Knendich (proboszcz w Tyczynie) i inni.

Gdy odchodzili już starsi, ś. p. Knap podjął się pracy misjonarskiej z całym zapałem; mając współpracownika, mógł bez szkody dla parafji wyjeżdżać na parę dni na pracę wśród innych. Nauki

wszystkie miał obrobione bardzo starannie, nadzwyczaj praktyczne, oparte na wiedzy, znajomości duszy naszego ludu. Celował zwłaszcza w naukach na temat świętych przykazań. Głosił słowo Boże z rozmaitymi księżmi w rozlicznych parafjach nietylko w diecezji, lecz i w archidiecezji lwowskiej, na Śląsku".

RECENZJE.

W pogoni za nieskończonością. Konferencje apologetyczne, wygłoszone w Paryżu r. 1929. Ks. Paweł Siwek T. J., prof. fakultetu filozoficznego OO. Jezuitów w Krakowie. Wydanie Ks. Jezuitów, Kraków 1930. In 8-o, str. 232.

Zaproszenie ks. prof. Siwka do Paryża dla wygłoszenia konferencyj postnych dla inteligencji kolonji polskiej wywołało powyższą pracę. Zetknięcie się, pisze autor we wstępie, z prądami kulturalnemi najświeższej doby pokazało mi naocznie, że mimo postępu kulturalnego i technicznego, człowiek nowoczesny nie czuje się szczęśliwym: cierpi głód — głód Boga. A ten głód tylko Bóg zaspokoić może. Jakże jednak trudno umysłom nowoczesnym do Boga dojść. Toć wchłonęły wszystkie hasła i doktryny, wypracowane przez myśl ludzką, a te stwarzają dla nich taką mnogość zapor, wywołują cały łańcuch wątpliwości i zastrzeżeń. dla których ochoczo Bogu oddać się nie mogą. — Wiele gwiazd błyszczy na firmamencie nowoczesnego świata... „Za którą pójść?" — pyta dzisiejszy człowiek w rozterce. Więc z serdecznem uczuciem kapłańskiej miłości, ze zrozumieniem niezaspokojonych zawiecznych tęsknot dusz, świadom ich słabości, niedomagań i przeszkód, utrudniających im dojście do Boga, wyprowadza autor dusze z gęstwiny omamień i błądzeń na jasny szlak, ukazując, „że jedna jest tylko gwiazda, wiodąca do Boga i ta, którą ongiś wszechmocna dłoń Stwórcy nad głowami mędrców „Wschodu" rozpaliła, a która i dzisiaj jeszcze — choć w innej postaci — ze szczytów Watykanu *urbi et orbi* świeci. Blask jej nie zmalał — tylko oczy nasze osłabły, tylko mgły i dymy życia nowożytnego ją przysłoniły".

Mówić do nowoczesnych dusz, być im przewodnikiem, trzeba je znać, znać świat ich duchowy, znać wszystkie postacie zbłąkanej myśli, rozważyć, przetrawić, aby móc okazywać ich kruchość i zawodność, a dać duszom tym pewne, mocne podstawy do nowego zwrotu ku — Słońcu Sprawiedliwości. Jest to trud nielada! Praca ks. prof. Siwka spełnia to doskonale. Z radością powitać trzeba ukazanie się tych „Konferencyj", które wzbogacają rodzimą naszą literaturę religijną dla inteligencji — tak dotąd szczupłą. Wartość zaś dzieła, sądzę, najlepiej okażą główne przytoczone myśli konferencyj.

I. „W pogoni za nieskończonością" przez psychologiczną analizę władz człowieka — woli, serca, fantazji, rozumu, wykazuje głęboko nurtującą w naszej naturze ludzkiej konieczną i powszechną

tęsknotę za nieskończonością — która objawiła się ludzkości, przed nią stanęła, jej się ofiarowała — nazwana Bogiem.

II. „Co to jest religja?“ — przedstawia, w jaki sposób „Nieskończoność ma być przez nas uchwycona, objęta i w posiadaniu trwałem utrzymana“... Zapewnia nam to religja — ten „krzyk, jaki wydziera się z głębi ludzkiej natury: rozumu, woli, wyobraźni, serca, gdy się przed nią zjawi Nieskończoność z cechami żywej, konkretnej Osoby. Religja objawia się przez wiarę, nadzieję, miłość. Wiara to konieczny i powszechny pęd ludzkości, uzupełnia ona rozum, który tylko w gruby niedoskonały sposób Boga poznaje, a której przedmiotem jest dogmat. Jak wiara rozum, tak nadzieja uzupełnia, uskrzydla i wzmacnia wolę, jest drugiem spotkaniem Boga z człowiekiem, wiodąc go drogą prawa moralnego. Miłość — trzecie spotkanie z Bogiem. Do serca trawionego tęsknotą, nachyla się Bóg ze swem sercem, ze swą miłością wieczną, miłość ludzką rozpalając i potęgując, podnosząc na szczyty doskonałości i czystości, aby dała owoc ofiary i poświęcenia. Gdzie trzy te akty istnieją — tam życie staje się płomieniem, który ciągle do Boga się wzbija. Człowiek składa w nich Bogu swoją tęsknotę za prawdą, za dobrem, za pięknem, za ideałem, za doskonałością, za wielkością, godną człowieczeństwa. A tej ofierze całopalnej odpowiada Bóg — zlewając nań siłę, radość, pociechę, odwagę, by piął się do nieskończoności, do wieńca nieśmiertelności. Kończy rozważaniem o zewnętrznym kulcie religijnym, społecznym kulcie w religji i fałszywych hasłach na temat religji.

III. „Wiara Chrystusowa“ — prowadzi do uznania prawdziwości wiary Chrystusowej, jako przedmiotu. Uprzednio więc rozpatruje fałszywe wierzenia, jak: politeizm, zoroastryzm, konfucjanizm, bramanizm i buddyzm, żydostwo, mahometanizm. Wreszcie w gruntownym wykładzie rozważa istotę chrystjanizmu — co jest przedmiotem wiary Chrystusowej i co jest do niej pobudką. Obalając usiłowania dowolności, prowadzi do wniosku, że uznać nam trzeba, że „wiara Chrystusowa jest Boskiem arcydziełem, stworzonem z jednego odlewu, wykutem z jednego niepodzielnego kamienia. Tutaj niema żadnych „rzeczy ubocznych“, któreby można było bez szkody dla całości odciąć; niema żadnych „rzeczy dodatkowych“, któreby można dowoli przydać. Słowo Chrystusa to słowo Boga — dla nas absolutnie niezmienne, nieodwołalne“. Fałszywa więc jest teorja protestancka, która wiarę ściąga do treści Pisma św. tylko, a wykazując następstwa tej tezy zgubne: chaos i rozstrój pojęć religijnych, rozwija podstawy do uznania tradycji i nauczycielstwa Kościoła. Omawia pobudki wiary Chrystusowej, okazuje błędne podstawy wiary „modnej“, płynącej z opierania się tylko na rozumie ludzkim (autonomizm), kończy rozważaniem, czy wszystkie prawdy wiary są równej wagi?

IV. „Wiara katolicka a liberalna wiedza“ — w jasny, przekonywujący sposób okazuje, że wiara nie stoi w sprzeczności z nauką, nie sprzeciwiają się sobie. Wiara nie gwałci praw rozumu — aby szukać wszystkich prawd dostępnych, — by nie przyj-

mować niczego bez dowodu, — by odrzucić błąd dowiedziony i uznany za taki, nauki więc rzetelnej nie tamuje. Także i rozum nie staje w sprzeczności z postulatami wiary, któremi są: wykluczenie wątpienia realnego i sprzeciwu przeciwko uroczystym rozstrzygnięciom Kościoła, oraz opieranie się o pewność moralną przy badaniu dowodów za objawieniem Bożem. Rola rozumu — to dźwigać nas do bram wiary, których sam nie otworzy. Dalej z pomocą przychodzi nam wiara — rozum Boga. Pierwszy kładzie fundament, drugi wykańcza, wieńczy. Obie te siły, działając razem, przenoszą człowieka w nowe światy, w nowe blaski.

V. „Wolność aktu wiary a wolna myśl". Bóg w wierze nie chce od nas przymuszonej służby, lecz ochoczej dobrowolnej ofiary, daru, szuka aktu wysługującego nagrodę, opierającego się o wolność. Kościół może przestrzegać, upominać, grozić — lecz wymusić aktu wiary nie może. Łaska zaś Boża może wiarę uczynić lekką, słodką, lecz wolnej woli nie gwałci. Wiara czy niewiara w ostateczności zależą od woli. I jak różność sądów ludzkich zależy od nastrojów, konstrukcji duchowej, czy człowiek jest szlachetnym, prawym lub nie, tak i wiara i niewiara zależą często od usposobień woli, osobistych skłonności i wartości każdego. To nam wyjaśnia ogromną rolę, jaką w sprawie wiary odgrywają charaktery ludzi, duch czasu i hasła fascynujące ruchu „wolnomyślnego". Dostatecznie więc szczegółowo znajdujemy w konferencji omówienie genezy i następstw ruchu „wolnomyślnego" w życiu jednostek i społeczeństw.

VI. „Wolna myśl, — pycha ducha" — okazuje znaczenie pokory dla zachowania wiary, której wymaga i przedmiot wiary, jak i sposób jej wyznawania. Wolnomyślność natomiast, będąca wykwitem pychy, wprowadza krytycyzm, racjonalizm, dalej empiryzm i pozytywizm, a stąd sprzeczność systemów i chaos w nowoczesnej myśli, poniżające rozum ludzki, który — kroczy po ciemku, bez celu, z przepaści w przepaść. — „Głupota jest córką pychy", powiedział Balmes. By wyjść na światło, wolność, jedna jest tylko dla człowieka droga: droga pokory.

VII. „Wątpienie religijne" — pisze autor, jest „jedną z najboleśniejszych ran, na które choruje społeczeństwo dzisiejsze. Jak trucizna, która raz się dostała do organizmu, zatacza coraz dalsze kręgi, aż wreszcie całą istotą żywą owładnie, tak rzecz się ma również z wątpieniem. Nie zna ono żadnych granic". Wątpienie na polu religijnem jest niemniej szkodliwe: ono sprowadza śmierć duszy i śmierć doczesną. Ważność problemu pobudza autora do wyczerpującego omówienia obrony przeciw wątpieniu, jego rodzajów i wyjaśnienia jego związku z wolą ludzką, niższemi popędami i uprzedzeniami. Powstaniu ze sceptycyzmu religijnego, wstąpieniu na drogę do wiary, towarzyszyć musi lojalne, szczere badanie wiary, zapoznanie się z nią. To pierwszy warunek, a drugi modlitwa, unikanie okazji, praktyki religijne czyli — życie z wiary. Bo „wiara nie jest tylko teorją, lecz życiem, dlatego też podtrzymuje się i rozpala nie samem tylko rozważaniem teoretycznem motywów, skłaniających nas do wiary, lecz życiem — życiem z wiary!".

Wogóle trzeba powiedzieć, że wszystko, co dziś może trapić duszę inteligenta i utrudniać mu życie duchowne, zostało w pracy tej wyjaśnione i rozproszone. Konferencje te będące doskonałemi wykładami aktualnych tematów są także i świetną apologją wiary Chrystusowej, — oświecające, przekonywujące, wielki pożytek przyniosą. Trzeba podziwiać autora, że tak spekulatywne tematy przedstawił w tak jasny sposób, że są dostępne rozumieniu dla każdego przeciętnie inteligentnego czytelnika, tak pociągające i obrazowe, że bez znużenia treść ich się wchłania. Nietylko przydatną, lecz potrzebną staje się książka ta wszystkim „szukającym“ Boga oraz umocnienia w wierze, niezbędną spowiednikom i kaznodziejom, którym daje obraz niedomagań nowoczesnej duszy, ucząca zarazem, jak je dźwigać, przekonywać i dla Boga pozyskać. Na prawdziwą wdzięczność rzetelną tą pracą zasłużył sobie autor.

Ks. Ber.

„Bóg jest miłością“. — Cykl egzort dla młodzieży starszej. Ks. Leopold Klementowski. Str. 367. Lwów. Nakł. Tow. „Bibljoteki Religijnej“. 1930 r.

Sam tytuł pociąga i budzi zainteresowanie. Chyba nic tak nie porwie serc młodzieńczych, jak ten wdzięczny temat: dzieje Bożej miłości. Wybór szczęśliwy i oryginalny. 36 nauk obejmuje piękną całość w 3-ch częściach: 1) Miłość Stwórcy (11 egzort), 2) Miłość Boża w dziejach człowieka upadłego (4 egzorty adwentowe) i 3) Miłość odkupiająca (21 egzort chrystologicznych). Ładnie schodzą się tematy poszczególnych nauk z odpowiedniemi okresami roku kościelnego. Aluzyj do stosownych perykop ewangelicznych już się zrobić nie dało; trzebaby zbytnio naciągać, coby psuło wrażenie i przeszkadzało logicznej ciągłości. Autor zna dusze młodzieży i kocha swoich uczniów. To dwie zalety, które jego nauki czynią słowem żywem. Wie, do kogo mówi i czego może od słuchaczy swoich żądać. Wie, jak będzie przyjęte jego upomnienie, przestroga lub skarcenie. Rozumie, że młodzież trzeba porwać: porywa ją też fascynującą żywością opowiadania i napięciem swego uczucia, które trudno, by się nie udzieliło jego młodym słuchaczom; a przytem nie są to nauki robione na kolanie, ale planowo i systematycznie przygotowane i przemyślane. Powiedziałbym tylko, że może właśnie dlatego trochę przydługie. Każda egzorta ma przeciętnie 14-15 stronic druku; mimo karności stylu i życiowego ujęcia tematu może to męczyć, tem bardziej, jeśli nie zawsze da się młodszych oddzielić od starszych na nabożeństwie szkolnem. I jeszcze jedno: zdaje mi się, iż rażą nieco przy czytaniu, a młodzież słuchającą więcej razić muszą te zbyt soczyste wyrażenia, które tłumaczą się werwą i zapałem kaznodziei, jak np. zmysłowość zwierzęca, rozjuszona bestja i t. p. Księża, którzy mają z młodzieżą do czynienia, którym do niej przemawiać wypada, znajdą w książce pomoc i wzór niepowszedni.

Ks. Sobalkowski.

Ks. Józef Tuszowski, T. J. **Garść Przemówień.** Kraków, 1930. Nakł. Wydawnictwa Księży Jezuitów.

Niniejszy zbiorek zawiera przemówienia okolicznościowe przy ślubach, przyjmowaniu I Komunji św., na różnych zjazdach i obchodach sodalicyjnych. Ks. Tuszowski nie jest zapewne kaznodzieją porywającym, nie ma tego, co nazywamy swadą oratorską, ale skrzętnie korzysta z okoliczności, by myśli i nastroje religijne budzić w duszach, zręcznie też je nawiązuje do przeżyć życia narodowego i społecznego. Staranna forma językowa, gorliwość kapłańska, świeżość myśli, stanowią niepoślednie zalety tych przemówień. Przemówienia do dzieci są mało przystępne dla dzieci przeciętnych.

Ks. W. Kosiński.

P. Anton Puntigam S. J. — **Exerzitien für Laien.** 27 Vorträge für geistliche Übungen mit besonderer Rücksicht auf die Jugend. Innsbruck, 1930, Rauch, S. 158.

Autor przytoczonej książki, o. Puntigam, który wieloletnią pracą rekolekcyjną zdobył sobie zaszczytne miano apostoła młodzieży, zmarł w r. 1926-tym. Jego spadek literacki w postaci „Rekolekcyj dla świeckich" przejął wydawca, o. Harrasser, znany propagator rekolekcyj zamkniętych, starannie go przerobił, rozszerzył, zaopatrzył przykładami i obecnie drukiem ogłosił. Obie ręce — i autora i wydawcy — starały się stworzyć „podręcznik rekolekcyjny" dla osób świeckich w ogólności, a przedewszystkiem dla młodzieży. Dla niej to głównie są przeznaczone liczne przykłady, powplatane w tekst książki ręką wydawcy. Natomiast treść rozmyślań, a jednocześnie i nauk, jest ogólniejsza, dla wszystkich.

Pragnieniem wydawcy było ułatwić księżom tym podręcznikiem dawanie rekolekcyj. Temu celowi sprzyja układ poszczególnych nauk — bo jest niezwykle przejrzysty; mowa prosta, łatwa, zwięzła, a przytem miła i składnie zbudowana; treść odżywcza i dosyć świeża. Niektóre rozmyślania zasługują na szczególną uwagę — np. dosyć są mocne i w wyrazie i w argumentacji rozmyślania o rzeczach ostatecznych, — bardzo również pouczająca i pożyteczna konferencja o nieczystości, przeznaczona wyraźnie dla młodzieży. Z 27 nauk — pierwsze 22, wybrane ze 4-ch tygodni ćwiczeń św. Ignacego, zawierają 13 zasadniczych tematów, które się najczęściej w rekolekcjach omawia, inne zaś służą do odmiany i do wolnego wyboru. Ostatnie pięć nauk są obliczone na poszczególne stany — ojców, matek, młodzieńców, panien i dzieci.

Do dziejów literatury ta publikacja nie wejdzie, ale kierownikom rekolekcyj odda niezaprzeczenie wyraźne usługi i niejednemu z nich ułatwi przygotowanie w szybkiem tempie serji nauk rekolekcyjnych. Rzecz znamienna, że wśród licznych opowiadań, pozbieranych do wyboru czytelnika-kaznodziei — nie widzi się przykładów z ostatniej doby, tak przecież obfitującej we wszelakiego rodzaju budujące i odstraszające wydarzenia. Dowód to tylko, jak mało jest rozpowszechniona praktyka gromadzenia życiowego materjału na użytek ambony.

Ks. Z. P.

Ks. dr. M. Sieniatycki. **Zarys Dogmatyki Katolickiej, t. III.** O łasce i cnotach wlanych. Kraków, 1930, str. 287.

Należy podziwiać Szanownego Autora, który w przeciągu dwu lat wydaje już trzeci tom swej „Dogmatyki Katolickiej", zakrojonej na miarę ogólnie znanych i cenionych podręczników teologji. W szczególności dziś, kiedy poszczególne narody zdobywają się na kapitalne prace teologiczne w języku ojczystym i w ten sposób uwzględniają potrzeby własnego kraju, wydanie dogmatyki po polsku można uważać za postęp w kierunku dostosowania się do ogólnego prądu, oraz należy ocenić ten fakt, jako próbę wypowiedzenia się zapomocą terminologji... życia. Nie miejsce tu, aby szeroko rozwodzić się nad koniecznością udostępnienia skarbów teologji dogmatycznej inteligencji polskiej, co właśnie między innemi mają na celu uczeni europejscy, trzeba jednak podkreślić wysiłek teologa polskiego, który nie chciał swego dzieła zamknąć na siedm pieczęci niedostępności. Zapewne praca ta w pierwszym rzędzie przeznaczona dla studentów, znających łacinę, ale i im, nie przeszkadzając bynajmniej w korzystaniu z wiekopomnych Sum i opracowań łacińskich, polski podręcznik ułatwi ogromnie zdobycie wiedzy teologicznej, a w kaznodziejstwie i nauczaniu religji będzie wielką pomocą.

W tomie pierwszym Szanowny Autor omówił zagadnienie Boga Jednego i Trójosobowego, w drugim — rozpatrzył naukę o Bogu Stworzycielu i Odkupicielu; w trzecim zaś porusza niezmiernie delikatne i ważne zagadnienie łaski, wiary, nadziei i miłości.

Kaznodzieja dla tych *par excellence* „ambonowych" tematów, znajdzie w pracy ks. Sieniatyckiego pewną i zdrową, gruntownie i wszechstronnie opracowaną naukę Kościoła. Będzie miał, jak to się mówi, pod ręką zebrane i wybornie dobrane teksty skrypturystyczne i patrystyczne i głęboką analizę poszczególnych zagadnień. A kto zaprzeczy, że w dzisiejszych czasach nie należy zadbać o dobre przedstawienie np. kwestji łaski i wiary. Jeżeli już nawet powieściopisarze, jak Chesterton angielski, apelują do duchowieństwa, by zagadnieniom życia nadprzyrodzonego poświęciło baczniejszą uwagę, a sami usiłują ten problem rozwinąć w sposób artystyczny i życiowy, to tem bardziej kaznodzieje muszą zrozumieć, że w czasach naturalizmu, ale zarazem w okresie wielkich prądów ku życiu z wiary i łaski, nie można pominąć żadnej okazji, by nie pogłębić w sobie i w innych nastawienia ku światu nadprzyrodzonemu. Te właśnie zagadnienia, jasno podane w języku, którym się myśli i mówi, są bezwątpienia wielkiem ułatwieniem w trudnej pracy kaznodziejskiej. Uważam, że daleko słuszniej byłoby przeczytanie odnośnego punktu nauki katolickiej z pewnego i gruntownego podręcznika teologicznego, w poglądowem, rzecz naturalna, przedstawieniu pracy słuchaczom, aniżeli powtarzanie często ogólnikowych, a nawet, niestety, płytkich „kazań" z podręczników kaznodziejskich. Dlatego też polecamy to dzieło ks. prof. Sieniatyckiego, z zainteresowaniem oczekując czwartego i ostatniego tomu.

Ks. M. K.

Ks. dr. Zygmunt Kozubski. **Problem potomstwa.** (Studjum etyczne). Warszawa, 1930. Wydawnictwo Domu Prasy Katolickiej. Str. 103.

Ks. dr. Antoni Szymański. **Ograniczanie urodzin i karalność przerywania ciąży.** (Serja nowa — Bibljoteka Prądu — zeszyt 6). Lublin, 1930. Str. 72.

Do najtrudniejszych w duszpasterstwie problemów należą te, które są związane z 6-em przykazaniem Bożem. I kaznodzieja i spowiednik wiele musi włożyć pracy, aby wiernych nakłonić do przestrzegania prawa w tej właśnie dziedzinie. Najważniejsza ich praca— to wykład i udowodnianie prawa Bożego, zwalczanie różnych wymówek, a wreszcie podbijanie woli pod władzę prawa. W kaznodziejstwie najlepsza do tego nadarza się sposobność w naukach stanowych, głoszonych zwłaszcza podczas rekolekcyj wielkopostnych. Nasi jednak kaznodzieje nie posiadali dotąd dostatecznych w tej materji pomocy literackich, aby móc gruntownie i w pełni owe trudne prawa wykładać i bronić. Dziś już te skargi muszą ucichnąć. Jednocześnie bowiem ukazały się z omawianej dziedziny dwa studja: jedno — pochodzące z ręki moralisty — etyczne, napisane wymownie i uczenie, drugie — etyczno-społeczne, napisane przez socjologa, traktujące przedmiot przystępnie i praktycznie. I jedno i drugie ma na celu zwalczanie dwóch grzesznych praktyk: mianowicie zapobiegania poczęciu i spędzania płodu. Spowiednik i kaznodzieja, który te dwie prace gruntownie przerobi, z pewnością nie będzie się skarżył na brak materjału argumentacyjnego do zwalczania tych śmiertelnych nadużyć. Życzyćby tylko należało kaznodziejom rekolekcyjnym, aby z piórem w ręku przerobili te dwa cenne dla duchowieństwa studja.

Ks. Stanisław Podoleński T. J. — **Podręcznik pedagogiczny.** Wskazówki dla rodziców i wychowawców. Wyd. drugie. Kraków, wyd. ks. Jezuitów, 1930, str. 408.

Podręcznik ten ma na celu ułatwić rodzicom i ich zastępcom pracę wychowawczą. W tym celu podaje im całokształt chrześcijańskich wskazówek wychowawczych, zestawiając praktyczny materjał w formie jasnej, przystępnej, a miejscami nawet ponętnej i żywej. Słowem, gdy mowa o formie, daje on nam więcej, niż się przeciętnie od podręcznika wymaga i oczekuje.

Treść sama, w obecnem, drugiem wydaniu „w połowie przerobiona i znacznie rozszerzona“, z natury swej ciekawa i pożyteczna, nadaje się i do lektury i do studjum, zainteresuje zaś przedewszystkiem rodziców, a po nich wszystkich wychowawców. Wśród nich na pierwszem miejscu należy postawić duszpasterzy, jako wychowawców, nauczycieli i kaznodziejów. Tym ostatnim musimy wciąż odświeżać w pamięci prawdę, często niestety zaniedbaną i niedocenianą, że materjału kaznodziejskiego można i należy szukać nietylko tam, gdzie widnieje napis gotowego kazania. Korzystanie z obecnego „Podręcznika“ nie będzie trudne. Wystarczy treść nieco uprościć, miejscami życiowo ją rozszerzyć, przedstawić ją mową żywą, a pow-

stanie z tego pożyteczna nauka kościelna, albo ciekawa pogadanka. Jedne bowiem działy (z dziedziny moralności) nadają się do kościoła, inne (np. higjeniczne) — do pogadanek stanowych. Tę właśnie książkę możemy śmiało polecić jako pomoc do stanowych nauk — do ojców, matek — i do rodzicielskich pogadanek. Duszpasterz może z niej zaczerpnąć wiele pożytecznych wskazówek, pouczeń, które chętnie i z wdzięcznością przez rodziców będą przyjmowane, byle tylko poczuwał się do obowiązku wychowywania wszystkich parafjan, nietylko tych najmniejszych, ale i dorosłych. Skończyć nam zresztą trzeba z ogólnikami kaznodziejskiemi o czwartem przykazaniu. Mówiąc o obowiązkach wogóle, należy to nauczanie dopełniać praktycznem ujęciem obowiązków jednostki, członka rodziny i społeczeństwa. Kaznodzieja jest bezwzględnie wychowawcą wszystkich swych słuchaczy, a obowiązki moralne człowieka akcentuje daleko silniej, niż inni wychowawcy, bo ma za sobą autorytet słowa Bożego. Co homiletyka, — a za nią kaznodzieje — prawią o zastosowaniach moralnych, to wprowadzają w czyn wszyscy słuchacze, zarówno wychowankowie jak i wychowawcy.

Podręcznik ks. Podoleńskiego może jeszcze oddać usługi przy opracowywaniu egzort szkolnych. Niejeden temat (np. o wadach młodzieńczych) wypadnie o wiele praktyczniej i trafniej będzie ujęty, jeżeli się zajrzy do podręcznika pedagogiki.

Nie od rzeczy tu będzie podać czytelnikowi-kaznodziei praktyczną radę. Studjując „Podręcznik pedagogiczny“, róbmy zeń odnośniki w drugim podręczniku — kazań katechizmowych; a w ten sposób nauczanie kościelne dopełnimy wskazówkami chrześcijańskiej pedagogiki.

Ks. Z. P.

Ks. Klepacz Michał. **Duchowieństwo wobec nowoczesnych prądów w szkole polskiej.** Str. 180. Rok 1930. Drukarnia św. Józefa, Kielce, Karczówka. Skład główny: Kielce, Seminarjum duchowne. Cena 4 zł.

Aktualnemu zagadnieniu szkolnictwa polskiego z punktu widzenia duchowieństwa poświęcił dużo uwagi profesor kieleckiego seminarjum duchownego, ks. Michał Klepacz. Jako wynik jego badań powstało niniejszd dzieło.

W szkolnictwie polskiem tętnią nowe prądy; hasła „szkoły pracy“, „szkoły jednolitej“ są na ustach wielu. Monopol państwowy czy wolność szkolnictwa, koedukacja czy separacja młodzieży, szkoła bezwyznaniowa czy wyznaniowa — oto zagadnienia żywotne, interesujące każdego inteligentnego katolika, duchownego tem bardziej. Nastroje i tendencje wśród szerokich mas nauczycielstwa polskiego, szczególniej zrzeszonego, są bardzo ważne dla duchowieństwa i dla uświadomionych świeckich katolików. Wszystkiemi temi zagadnieniami zajmuje się powyższa książka.

Autor włożył bardzo wiele pracy w to, aby się w życie szkolnictwa polskiego wsłuchać; aby tendencje rozwojowe podpatrzeć i dalszy ich bieg przewidzieć, zdobywając tem samem możność wpły-

wu na ten bieg, — wpływu stosownie do zasad i potrzeb Kościoła katolickiego w Polsce.

Trzeba przyznać, że autorowi udało się doskonale wyczuć tętno nowoczesnych prądów w szkolnictwie naszem. Ich istnienie, ich treść, ich konsekwencje, ich znaczenie dla przyszłości są umiejętnie i głęboko przez autora odczute, przemyślane, oraz jasno wypowiedziane. Właśnie tem jasnem wypowiedzeniem, wypowiedzeniem w druku, świadczy usługę szerszym warstwom duchownym, bo im pozwala przy minimalnym trudzie przeczytania zapoznać się gruntownie z zagadnieniami, dla życia doniosłemi.

Autor trzyma się takiej metody wykładu: stawia zagadnienie, ilustruje jego stan obecny zagranicą i w Polsce (często z cyframi statystycznemi); formułuje tezy i kontr-tezy zestawia argumenty „za" i „przeciw"; wreszcie dochodzi do wniosków końcowych. Dzięki takiej metodzie zagadnienia uzyskały naprawdę wszechstronne oświetlenie. Czytelnik katolik zyskuje przewagę bezwzględną w dyskusjach szkolnych dzięki temu, że znać będzie zarówno same twierdzenia przeciwników, jak i ich argumenty.

Jeszcze jednę korzyść można odnieść z książki, mianowicie — dać ją do rąk nauczycielstwu. Wtedy niejedno powierzchowne zapatrywanie pryśnie, niejedna obawa nieuzasadniona zniknie automatycznie; oni sami zobaczą, że katolicki punkt widzenia na zagadnienia szkolne jest całkowicie nowoczesny, godny uznania przez umysł każdego gruntownie inteligentnego człowieka.

Ks. E. Gielniewski.

Dr. M. Skrudlik. — **„Królowa Korony Polskiej".** Szkice z historji malarstwa i kultu Bogarodzicy w Polsce. Lwów 1930. Nakł. Tow. „Bibljoteka Religijna". 8-ka duża, str. 372, w tekście 109 ilustracyj. Cena 12 zł. 50 gr.

Powyższa praca to źródłowe i ciekawe szkice historyczno-opisowe, dotyczące malarstwa i kultu Matki Boskiej, zebrane w monograficzną całość. Jest to pierwsze w Polsce dzieło, dające ogólny obraz czci Najśw. Panny w obrazach najstarożytniejszych i nowszych, nietylko w świecie katolickim wogóle, lecz zwłaszcza w Polsce. Zawiera cały szereg dokumentów i uwag fachowych, czyta się mimo to jak ciekawe opowiadanie. W 109 ilustracjach przedstawione są najsławniejsze obrazy, wyobrażające Matkę Boską, św. Rodzinę oraz Świętych Pańskich. Nietylko historyk sztuki lecz i kaznodzieja znajdzie tu wiele ciekawego materjału do swoich maryjnych przemówień, zwłaszcza wiele jest interesujących przykładów, legend i opowiadań z życia Matki Boskiej, które mogą być użyte na ambonie. *I. Z.*

O. Fr. Świątek, C. Ss. R. — **Świętość Kościoła w Polsce** w okresie rozbiorowym i porozbiorowym. 33 ilustr. życiorysy świątobliwych Polaków i Polek. Tom I. Kielce, 1930. Nakł. Zgrom. Służebnic N. Serca Jezusowego Drukarnia św. Józefa, Karczówka-Kielce. Str. 348.

Ambona polska ma przed sobą do spełnienia wielkie zadanie — ożywienia kultu patronów polskich i torowania drogi nowym beatyfikacjom. Opatrzność dostarczyła nam w swych świętych i świątobliwych sługach wiele cudownych obrazów życia chrześcijańskiego, tylko trzeba je wiernym pokazać, zachęcić ich do naśladowania i do wzywania opieki tych najlepszych dzieci ziemskiej i niebieskiej ojczyzny.

Autor przytoczonego w nagłówku dzieła wyświadczył tej sprawie wielką usługę, że w jednym książkowym zbiorze zgromadził i udatnie skreślił 33 życiorysy świątobliwych Polaków i Polek z okresu rozbiorowego aż do ostatniej doby. Ileż to zbudowania mieści slę w tych heroicznych żywotach, jak wyborna dla wiernych nauka życia chrześcijańskiego w tych żywych przykładach! Sami kaznodzieje pokrzepią się wzorami takich świątobliwych poprzedników, jak o. Podgórski lub ks. Blaszyński, niejeden z podanych wzorów będą mogli opowiedzieć wiernym w naukach ponieszpornych, nie mówiąc już o tem, że mogą z tego zbioru czerpać nowe, przejmujące wzory do ilustrowania nauki wiary i obyczajów.

NOWE WYDAWNICTWA KAZNODZIEJSKIE.

Ks. Józef Kłos. **Kazania katechizmowe**, t. II, wyd. 2. Księg. św. Wojciecha, Poznań 1930. Cena zł. 15.

Ks. Ignacy Czechowski, dyrektor misyj. — **Krótkie kazania na niedziele i święta całego roku.** Poznań, 1930. Nakładem autora. Skład główny w księgarni św. Wojciecha, str. 608, cena 13 zł.

Ks. Piotr Nowak. **Egzorty dla młodzieży szkół średnich.** I. Na niedziele roku szkolnego. Lwów, 1929, (str. 321 w 8-ce. Nakł. „Bibl. Rel.“ 8 zł.

WYDAWNICTWA NADESŁANE.

Dr. Joannes Gspann. **Summarium theologiae dogmaticae.** In—15-o, VI — 571 p. Paris, Lethielleux, 30 fr.

Jest to skrót teologji dogmatycznej, napisany zwięźle, przejrzyście, według metody historyczno-krytycznej. Pominięto w nim wszelkie kwestje, które się odnoszą do teologji moralnej, ascetyki i prawa kanonicznego.

J. B. Dumas. **Theologia moralis thomistica.** Volumen I.: Theologia moralis generalis pars prima. De ultimo fine humanae vitae, de actibus per quos pervenitur ad beatitudinem aut impeditur beatitudinis via. XXVIII et 284. Paryż. Nakł. Lethielleux 1930 r.

Teologja moralna ks. Dumas'a odbiega od tych podręczników, które dotychczas są w użyciu, nie treścią naturalnie ale sposobem ujęcia. Metoda tego dzieła nie jest kazuistyczna, jak po większej części Noldina, ale bardziej naukowa, scholastyczna. Autor bierze tezę za tezą i udowadnia, trzymając się przytem nawet w układzie tez porządku, jaki zostawił w swej

„Summie“ św. Tomasz. W niektórych punktach wątpliwych zdaje się autor wybierać surowszą ocenę (de motivo caritatis ad bonitatem actuum humanorum). Tom ten to dopiero początek wielkiego wydania i wykładu całości nauki moralnej tą samą metodą tomistyczną.

Dr. A. Stöckl i dr. J. Weingärtner. **Historja filozofji w zarysie**, wyd. 3, opracował ks. Franciszek Kwiatkowski, T. J., Wyd. ks. ks. Jez., Kraków, 1930, str. 655.

Ks. dr. Józef Donat, T. J. **Wolność nauki.** Obraz nowoczesnego życia umysłowego, z 3-go wyd. niem. przełożył ks. dr. Wł. Rosłan, Kraków, Wyd. ks. ks. Jezuitów, 1930, str. 337.

Ks. Józef Bok, T. J — **Przewodnik rycerstwa Jezusowego czyli Krucjaty Eucharystycznej.** Kraków, 1930. Wydawn. księży Jezuitów, str. 148.

Ks. dr. Stefan Abt. — **Wypisy do dziejów Kościoła Powszechnego** (t. I). Starożytność chrześcijańska. Poznań 1930. Nakł. Spółki Pedagogicznej. Str. 155. Cena 4.20.

M. H. Szpyrkówna. — **Cuda w Lourdes.** Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa. 1930. Str. 196, cena 6 zł.

Ks. Stanisław Marchewka. — **Rozważania o Najświętszym Sakramencie** podczas miesięcznej adoracji. Nakładem księgarni „Jedność“ w Kielcach. Str. 181.

O. Marjan Pirożyński, redemptorysta. — **Co czytać?** Poradnik w sprawie lektury religijnie uświadamiającej dla maturzystów szkół średnich ogólnokształcących i seminarjów nauczycielskich. Część I. Filozofja — Teologja — Historja Kościoła — Czasopisma. — Wydawnictwo księży Jezuitów, Kraków, 1930. Str. 122.

Dr. Antoni Cojazzi. — **Piotr Jerzy Frassati.** Przekład z oryginału włoskiego. Nakładem salezjańskiego studentatu filozoficznego w Krakowie. 1930. Str. 311. Cena 4 zł., z przesyłką 4,60. Do nabycia „Inspektorat Salezjański“, Warszawa, Lipowa 14.

Jest to życiorys niezwykłego młodzieńca, studenta politechniki, który w 24 roku życia zeszedł z tego świata. Przedstawia nam przepiękny typ współczesnego, chrześcijańskiego młodzieńca. W oryginale włoskim książka ta rozeszła się w ciągu trzech lat w pięciu wydaniach.

Wyszedł już z druku bogato ilustrowany zeszyt **„Rodziny Polskiej“** na wrzesień (Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71). Zdobią go śliczne ilustracje, których szereg rozpoczyna przepiękny obraz „Z krajobrazów Polski“—Błota Pińskie. Na treść numeru wrześniowego składa się szereg artykułów. Prócz tego są osobne działy: z wiedzy, literatury i sztuki,—na falach czasu (zobrazowanie wypadków z ostatniego miesiąca), kącik rozrywkowy, bogaty dział kobiecy. Ostatnią stronę zeszytu zdobi „Kącik dla dzieci“.

Ks. dr. Józef Pastuszka. **Rola Kościoła w kształceniu światopoglądu.** Odbitka z „Prądu“. (Serja nowa — Bibl. Prądu — zeszyt 7). Lublin. 1930. Str. 23.

Obowiązek nauczycieli katolickich. (Serja nowa — Bibl. Prądu — zeszyt 8) Lublin, Uniwersytet 1930. Str. 13. Cena 50 gr.